



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagraniczy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi  
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** Jeszcze o zaniedbanem polu p. J. I. T. — Mowa T-H. Huxley'a o związku biologii z medycyną. — Balady prozą (dwa opowiadania A. Daudet) p. S. M. — Piśmiennictwo polskie: Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki. Wizerunek historyczny na tle dziejów Polski XVI wieku. Aleksandra Kraushara, p. Wł. Smoleńskiego. — Piśmiennictwo rosyjskie: Na górach. Ciąg dalszy obrazów w Liesach. Opowiadanie Andrzej Peczerski p. Al. Pawłowskiego. — Badania prawne: O prawie rolnem w starożytnym Rzymie, napisał prof. dr. T. Dydyński p. Karola Dunina. — Literatura zagraniczna: William Wallace. The epicureanism p. A. B. — Korespondencya Talleyranda I. p. J. N. — W Perspektywie p. An. Dy. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

Z powodu zbliżającego się terminu kwartalnej przedpłaty, prosimy o nadsyłanie jej wczesne i bezpośrednie do redakcyi.

### JESZCZE O ZANIEDBANEM POLU.

W jednym z pierwszych numerów *Prawdy* wypowiedzieliśmy pod tym tytułem kilka uwag, odnoszących się do stanu wiedzy w naszym społeczeństwie, przyczem zwróciliśmy głównie uwagę na tak zwane nauki ścisłe. Czytelnik z łatwością zapewne przypomni sobie, że głównym rezultatem wspomnianego artykułu było wykazanie, że wiedzy ścisłej u nas nie ma wcale; że konieczności jej istnienia ani społeczeństwo ani prasa, zdaje się, wcale nie pojmują. Zgiełk, wywoływany nawalem drobnych spraw bieżących, głuży ciche słowa nauki, dopominającej się o swe prawa, a pochopność ogółu do wypełniania świetnych obowiązków, utrwalających jego przyszłość intelektualną, jest wyzyskiwaną na efektowniejsze, być może, lecz mniej ważne cele.

Że tak jest, staraliśmy się udowodnić uprzednio; obecnie przypatrzymy się tej sprawie nieco bliżej, aby do świadomości celów dodać świadomość środków. Ta ostatnia bowiem bardziej jeszcze, niż jasne wytknięcie drogi, którą kroczyć należy, wpływa na powodzenie danej sprawy.

Jak wszędzie, tak i tu, do gruntownego poznania stanu rzeczy mogą nam służyć dwie metody: jedna historyczna, oparta na zbadaniu warunków, wywołujących olbrzymi rozrost wiedzy ścisłej za granicą, druga bezpośrednia, polegająca na prostem zasto-

sowaniu do warunków miejscowych tych środków, które zwykły rozsądek za odpowiednie uznać kaze.

W rozpatrywanym przez nas przedmiocie obie drogi, jak się przekonamy, do jednego doprowadzają wniosku, co samo służyć już może za miarę jego słuszności. Najpobieżniejszy rzut oka na dzieje nauki ściślej za granicą wykazuje dowodnie, że dopóty rozwój jej był słabym i bezowocnym, dopóki badania sprowadzały się do przerabiania naukowego materiału, zostawionego przez starożytnych. Ciemnota wieków średnich właśnie w braku samodzielnych badań ma swoje źródło. Z chwilą, w której wzięto rozbrat z Pliniuszem, a zwrócono się do przyrody; w której przestano poraz tysiączny wertować stare księgi, a zaczęto pilnie obserwować odwieczne zjawiska; z chwilą, w której prawdy poczęto szukać nie w tysiąckrotnie już obrobionym Arystotelesie, lecz w wiecznie młodej księdze przyrody — powstał szybki rozwój nauk ścisłych. Samodzielne badanie natury i jej zjawisk, wpatrywanie się w nią ustawiczne i natrętne, zadawanie jej pytań i odbieranie od niej odpowiedzi, jakby się wyraził Tyndall, oto jedyne, lecz niezbędne warunki postępu ściślej wiedzy przyrodniczej. Pogląd taki nie jest bynajmniej odą, wypowiedzianą jednostronnie na korzyść metody doświadczalnej, lecz przeciwnie, jest on owocem uważnego i spokojnego wpatrzenia się w dzieje umiejętności ścisłych; głoszą go i dzielą tak nawet surowi badacze, do jakich należał Poggen-dorff.

Nie trzeba jednak wcale wnikać w dzieje nauki, by dojść do podobnego wniosku. Dość jest pomyśleć tylko o tem, jaką drogą osiągnąć można prawdy doświadczalne, by zawyrokować, iż jedyną drogą doświadczania.

Regulę tę, uznaną i głoszoną jeszcze

przez Bacona, zrozumiały narody, przodujące nam dzisiaj w oświecie. To też w wszystkich ogniskach życia umysłowego zgromadziły potrzebny zapas środków badania. Czy los rzuci żadnego pracy naukowej młodzieńca do stołecznego Berlina, czy do ustronnej Tübingi, wszędzie znajdzie on środki do naukowej pracy: bibliotekę, pracownię, gabinet i przewodnika; wszędzie spotka grono ludzi, którzy niebacząc na codzienne troski powszedniego żywota — zajmują się naukowem badaniem przyrody, wzajemnie wspierając się w pracy, lub walcząc z sobą — co dla nauki tylko korzyść przynieść może.

U nas inaczej. Nie tylko Lublin lub Radom w środki i pracownię nie obfitują, lecz niema ich nawet w Warszawie. Przykład d-ra Jędrzejewicza, fundującego swym krwawo zapracowanym groszem obserwatorium astronomiczne i działalność tego grona ludzi, którzy podjęli wydawnictwo fizyograficzne, są objawami tak wysiłonych i naprężonych stosunków naukowych, iż mimowoli przenoszą myśl naszą w te odległe czasy wieków średnich, w których istotnie tylko osobisty, nadludzki wysiłek mógł jdać światu nową prawdę naukową. Dziś jednak taki stan rzeczy nie może być usprawiedliwiony niczem. Nauka rozrosła się olbrzymio; jej metody stały się bardziej złożone, jej środki — bardziej trudne w użyciu. Dziś bez ułatwień, bez pomocy naukowych, największa zdolność zedrzeć się musi, bo samo zdobycie środków badania, samo obznajmienie się z metodami — wymaga niezmiernie wielkiego nakładu pracy.

A tymczasem nie się na tem polu nie robi. Jedyne stypendyum dr. Bączewicza, poświęcone nie zawodowemu, lecz naukowemu wykształceniu młodych ludzi — nie ma kandydatów i bywa rozdzielane pomiędzy studentów. Dlaczego tak jest — odpowiedzieć łatwo. Naprzód dlatego, że stypen-



dyum jest za mało (450 rs. rocznie), powtórę dlatego, że obstawiono je, w najlepszych zresztą chęciach, tysiącem formalności prawie niepodobnych do wypełnienia.

Obejrzawszy się po Warszawie i po kraju, uznać musimy ze smutkiem, że nawet, wedle słów przysłowia, wiatr na naukę ścisłą nie wieje. Ani bibliotek dostępnych, ani pracowni niema, a co najważniejsza: za najcięższą pracę naukową nikt grosza nie da. Ci, którzy z ochotą wyrzekliby się pewnej sumy przyjemności i zbytku, byleby mogli pracować naukowo — nie mogą tego uczynić bez narażenia się na niechybną śmierć głodową. Z drugiej strony ogólny, do dziś trwający zastój naukowy sprawia to, że u nas każdy dłuższą niż za granicą musi przebieść drogę — zanim zdoła się wspiąć na te wyżyny, na których stoi dzisiejsza nauka.

Nie łatwiejszego nad utyskiwanie. Zewsząd słyhać skargi i narzekania: „Nie ma dobrego podręcznika fizyki — niema dobrego podręcznika chemii,“ a ogół narzekających, zdaje się, zapomina, iż dziwić się temu niemożna; że przeciwnie, byłby godnym najwyższego podziwu rozkwit literatury naukowej tych przedmiotów. Bo któż ma pisać tego rodzaju książki, jeśli nie ci, którzy spędzają życie w pracowni, a skąd ich wziąć, jeśli pracowni u nas niema?

Ten, co w ciągu swego życia dotknął się własnymi rękami danej kwestyi naukowej — opracował ją w książce doskonale i bez najmniejszego wysiłku, bo drogą długiej pracy i spokojnego rozmyślenia nagromadził w swym umyśle szereg odnośnych wiadomości i co ważniejsza, wyrobił sobie swój własny, indywidualny na rzecz pogląd. Pisanie książki na obałutkę, dla tego, iż jej żąda nakładca, może dać tylko kompilację, czasem nawet szczęśliwą, ale zawsze chwiejną, w której przerzucanie się od poglądów jednego autora do drugiego będzie tem widoczniejsze, im krytyczniej użył umysł podobną pracę podejmie.

Chcieć od „uczonych“ książki przyrodniczej, a nie dać im pracowni i bibliotek, jest to samo, co żądać, by konie ciągnęły wóz, do którego ich nie zaprzężnięto. A jeśli na-

wet, bo i to się zdarzyć może, napisze ktoś książkę dobrą, to wyjdzie ona z pracowni Helmholtz'a lub Wurtza albo Thomsona i z naszym rozwojem naukowym żadnego genetycznego związku mieć nie będzie.

Jak dzieło historyczne nie może powstać poza obrębem archiwów, bez kronik i pamiętników — podobnie przyrodnicza książka nie może powstać poza pracownią przyrodniczą. Dopóki więc nie będziemy mieli ostatnich, dopóty narzekania na brak pierwszych będą nieusprawiedliwione. Budowa nigdy nie może być rozpoczynana od dachu, więc też i podnoszenie poziomu wiedzy przyrodniczej należy rozpocząć od tego, co jej podstawę stanowi, t. j. od ufundowania odpowiednich instytutów, w którychby można naukę czerpać i badania przyrody prowadzić.

Czy nas stać na coś podobnego, przyszłość okaże, tak jak teraźniejszość dowodzi, że stać nas na ośm czy dziewięć, (bo nie wiem ile) teatrów i na najlepszych w Europie tenorów. Gdyby zrozumiano, a nawet gdyby tylko zrozumieć chciano, ile dobrego mieści w sobie rozwój czystej nauki, jak ona orzeźwia i ożywia naród, gdy w jego masę przenika — z pewnością niedługo byśmy czekali na powstanie podobnych instytutów. Manchester cały dochód ze swej własnej fabryki gazu poświęca na bibliotekę publiczną; owoc nauki, gaz oświetlający, jest tam zarazem sokiem, żywiącym dalszy jej rozwój. Inne miasta zagraniczne mają swe muzea i pracownie i u nas czas już wielki na coś podobnego, bo im później — tem trudniej będzie, gdyż postęp nie będzie czekał, aż się namyślimy, i swą koleją pobiegnie naprzód.

Tyle z jednej strony. Przyjrzyjmy się drugiej. Jak są wykładane nauki doświadczalne w szkołach średnich, czy i ile tam uczniom pokazują doświadczeń? Odpowiadać nie potrzeba, bo każdy z nas był w szkołach, każdy ma w nich dzisiaj syna, brata lub kuzyna.

Niedawno Huxley powstawał przeciw Bainowi, za to, iż ten mówił o mózgu, chociaż go nie widział i osobiście nie studiował. Zarzut ten jest, o ile nam się zdaje, słuszny; lecz w takim razie, co warto od-

powiedzi naszych uczniów na egzaminach, jeśli oni żadnego z opisywanych doświadczeń nie widzieli? Czy je widzieli sami wykładający, to także wielkie pytanie, pomimo iż najznakomitsi pedagogowie współcześni *stanowczo* wymagają, aby wykładający nauki doświadczalne byli obznajmieni dokładnie nawet z „zakulisową“ stroną wszystkich doświadczeń, t. j. znali dokładnie nie tylko zasady przyrządów, lecz i ich specjalne zalety, wady lub usterki.

Wątpię, a mam po temu pewne dane, czy od czasu powstania pojęć o natężeniu strumienia elektrycznego, mierzono u nas jego siły w celach naukowych. Służące do tego przyrządy: bussola stycznych, bussola wstaw, elektrometr Thomsona — nigdy u nas właściwego swego przeznaczenia nie wypełniły; siły strumienia nie mierzono i nie mierzą nimi — spełniają one inny cel, o jakim nie marzyli ich wynalazcy: są wybornymi narzędziami tortur egzaminacyjnych. Nic więc dziwnego, że tylko ogólne podziwy budzi w nas kongres elektryczny i połączona z nim wystawa, bo do istotnego w nim udziału nie jesteśmy przygotowani; nie z braku zdolności lub chęci do pracy, lecz z braku środków, które co rychlej znaleźć trzeba.

Gdzie się po nie zwracać — trudno byłoby orzec, gdyby Staszyc nie był w tych samych celach utorował drogi. Pragnąc rozwoju wiedzy przyrodniczej, zwracał się on do młodzieży, i tych wszystkich, którym rozwój społeczny jest drogi.

J. I. T.

## MOWA T.-H. HUXLEY'A

o związku biologii z medycyną.

(Dokończenie).

Fizyologowie XVIII wieku byli o wiele szczęśliwsi od Descartes'a. W chemii współczesnej i w nauce o elektryczności znaleźli oni bardzo wiele danych, pozwalających na sumienną analizę zjawisk życia. Większa część postępów, dokonanych w bieżącym stuleciu, stwierdza zasadniczą myśl Descarte-

## BALADY PROZĄ.

(Dwa opowiadania A. Daudet.)

Otwieram drzwi i cóż widzę: oto cała przestrzeń wokoło młyna pokryta srebrzystą gazą. Trawa, dziana jakby kryształem, lśni i chrzęści pod nogami; mróz objął pagórek w chłodne, żelazne okowy. Odrazu, prawie cudem, rozkoszna Prowansja zmieniła się w polarną okolicę. Wtedy to, pośród sosen, które szron odział białym, śnieżystym całunem — pośród grup lawendy, przedstawiających się jak bukiety z kryształu, napisałem, nieco na sposób niemiecki, te dwie balady, gdy nad moją głową, w wyżynach podniebnych, podłużnym trójkątem płynące bociany wołały głosem grobowym: zima! zima! zima!

### I.

Śmierć Delfina.

Małeńki Delfin chory, małeńki Delfin umiera. W całym królestwie, we wszy-

stkich kościołach, dzień i noc, goreją lampy i świece, i odbywają się nabożeństwa za zdrowie potomka panującej rodziny. Na ulicach starożytnej stolicy ciska grobowa, mileczą dzwony, powozy i karety toczą się powoli, noga za nogą. Ciekawi mieszkańcy tłoczą się do bram pałacu i wpatrują się w straż przyboczną, szwajcarów, błyszczących szychem i złotem i rozprawiających w dziedzińcu z wielką, uroczystą powagą.

Cały zamek burzysię ruchem jak w mrowisku... Szambelani i dworzanie zbiegają i wbiegają po szerokich kamiennych stopniach schodów. Tłoczą się paziowie w kurtyarzach a służba w jedwabiach i orderach gromadzi się w grupy i gwarzy, szepcząc tajemniczo.

W ogromnych, przestronnych salach pałacu, damy dworu snują się niby widma grobowe, z zapłakanem okiem, ze zlanem łzami obliczem, z przytkniętą do ust koronkową chusteczką, tłumiąc zbyt głośne jęki i szlochania!

W innej sali zgromadzili się lekarze.

Przez szyby okien, widac doktorskie togi, podrzucone nagłym ruchem rąk i łyse głowy, pokryte peruką!

Nauczyciel i paź delfina chodzą pospiesznie tam i napowrót, wyczekując na otwar-

cie drzwi i stanowczą decyzją konsylium. Mimo nich przebiegają chłopcy do posługi, z szyderczym uśmiechem, z hardo podniesioną głową, zapominając o należnem uszanowaniu dla dygnitarzy!

Paż oburzony obdziela ich słowami wyrzutu, nauczyciel w rozpacz... deklamuje ody Horacego!

Równocześnie z odległej stajni od pałacu płyną bolesne, jęczące rżenia: to koń Delfina, zapomniany przez masztelarzy, głosem głodu woła do żłobu pustego od dawna...

A król? Gdzież król? Król, sam jeden, zamknął się w najodleglejszej sali pałacu... Głowy koronowane nie lubią, by widziano ich łzy... Królowa, to rzecz inna... Siedząc u wezgłowia małeńkiego Delfina, zalewa się gorzkimi łzami, nie wstydzi się płakać głośno... jak prosta mieszcanka.

Małeńki Delfin, bledszy niż poduszki, leży w koronkowej pościeli z zamkniętymi oczami. Wszyscy sądzą, że spi, ale nie! nie spi małeńki Delfin! Zwraca się nagle ku matce i widząc że płacze, mówi:

— Dla czego płaczesz królowo? więc pewną jesteś, że umrę?

Królowa chce odpowiedzieć, ale łkania nie pozwalają jej wyrzec słowa.



sa, gdyż coraz to więcej objawów fizyologicznych daje się sprowadzać do czysto fizyko-chemicznych przyczyn i działań.

„Pragnę objaśnić cały mechanizm ciała ludzkiego w ten sposób, żebyśmy już nie potrzebowali przypuszczać, że dusza wywołuje ruchy mimowolne, tak samo jak nie ma zgola żadnej potrzeby przyjmowania, że w zegarze istnieje dusza — niezbędna do wywołania ruchu wskazówek, znaczących godziny“ (De la formation du fœtus)

Te słowa Descartes'a mogą być wzięte za epigraf podręcznika współczesnej fizjologii. Aczkolwiek jednak nie można zaprzeczyć, jak mi się zdaje, że Descartes pierwszy powziął słuszną myśl uważania ciała ludzkiego za mechanizm fizyczny, co stanowi myśl, wyróżniającą fizjologię obecną od starożytnej, niemniej przeto nie sposób jest nie zauważyć, iż postępował on nadzwyczaj błędnie, porównyując ustawicznie znane mu dokładnie maszyny hydrauliczne i zegary do rozmaitych części ciała ludzkiego. W wszystkich tych maszynach znajduje się główne źródło siły, — wszelkie inne, ponad to źródło, części maszyny — są tylko biernymi rozprowadzaczami siły. Szkoła kartezjańska uważała ciało ludzkie jako maszynę tego właśnie rodzaju, — a tymczasem pod tym względem można było bardzo wiele prawdy znaleźć w szkole Gallena, która aczkolwiek nadużyła teorii *zdołności naturalnych*, jednak pomimo to położyła wielkie zasługi, uznawszy siły miejscowe, odgrywające tak wielką rolę w dzisiejszej fizjologii. Glisson poznał tę samą prawdę, lecz występuje ona wyraziście poraz pierwszy u Hallera, w jego doktrynie o *vis insita* mięśniów. Jeśli mięsień bez nerwu może ulegać skurczowi, to wszelkie objaśnienia mechanizmu skurczu przez wpływ duszy zwierzęcej upada i żadnej racji bytu mieć nie może. Odkrycia i prace Trembley'a były przedsięwzięte w tym właśnie celu. U polipa wód słodkich (hydry) nie podobna odszukać ani śladu tego skomplikowanego mechanizmu, który u zwierząt wyższych jest niezbędnym do prawidłowego wykonywania funkcji życiowych, a mimo to hydra porusza się, odżywia się, rośnie, rozmnaża się, a nawet oderwane jej części posiadają własności całkowitego zwierzęcia. Nareszcie, ukazanie się dzieła Wolffa p. t. *Theoria generationis*, 1759, było ostatecznym ciosem, wymierzonym przeciwko kartezjańskiej fizjologii — wykazało ono bowiem, że wzrost i rozwój zarówno zwierząt jak i roślin ma miejsce i wtedy, gdy organy nie zdołały się jeszcze utworzyć, że ich powstanie jest raczej skutkiem

a nie przyczyną życia. Wedle Wolffa fizyczną podstawą życia jest płyn, obdarzony szczególną siłą, *Vis essentialis*, i pewną własnością, *Solidescibilitas*, które wspólnie dają początek organizmowi. Z tego już pokazuje się, że Wolff obalał zupełnie cały system jatro-mechaniczny.

W Anglii olbrzymią powagą Johna Huntera wywarła wpływ podobny. Należy jednak zauważyć, że bardzo nieściśle wyrażenia, w jakie Hunter zwykł był ubierać swe pomysły, pozwalają na najrozmaitsze interpretacje. Niemniej przeto w pewnych razach Hunter bywa czasami zupełnie jasny, tak na przykład mniema on, że „duch jest tylko własnością materii“ (*Introduction to Natural History*, p. 6.). Jest on skłonny do porzucenia teorii animizmu, a pogląd jego na życie jest do tyła czysto fizycznej natury, że nie waha się on twierdzić, iż życie jest już związane z pokarmami. „Pokarmy, które przyjmujemy wewnątrz zawierają w sobie istotne życie w stanie stałym, występuje ono jednak czynnie dopiero wtedy, gdy wprowadzimy je do żołądka.“ (*Observations on Physiology*, p. 113.).

Hunter zgadza się z Wolffem, którego dzieł nie znał prawdopodobnie i twierdzi że „bez względu na to, czym jest życie, nie zależy ono jednak z pewnością od organizacyi.“

Bez wątpienia nie można przypuszczać, aby Hunter zaprzeczał, iż w procesach życia zachodzą zjawiska czysto mechanicznej natury. Rozważając zjawiska absorbeyi, trawienia i wydzielania, tak samo jak to czynili Boërhave i Boëlli, różni się on jednak od tych przedstawicieli kartezjuszowskiego poglądu, którzy wszystkie te zjawiska objaśniali mechaniczną naturą małych naczyń, ich układem, średnicą, położeniem otworów i t. d. Hunter przeciwnie, wszystkie te zjawiska uważa za wynik własności małych naczyń, lecz własności nie mechanicznych a *życiowych*. „Naczynia, mówi on, z pomiędzy wszystkich części organizmu są najpodobniejsze do polipów.“ Następnie mówi on o „własnościach życiowych i czuciowych, właściwych tętnicom“ a nawet o „usposobieniu i wrażeniach tętnic.“ „Gdy krew jest dobrą i naturalną — wrażenia są przyjemne... Wtedy to krew zostaje najlepiej spożytkowaną — wartość całości zostaje powiększoną — straty zostają nagrodzone i dobra ekonomia jest zachowana.“ Rozwijając logicznie pojęcia Huntera dojdziemy do wniosku, że życie wysoko uorganizowanego zwierzęcia, należy uważać za sumę życia pojedynczych naczyń. Każde naczynie jest wedle niego jednostką fizjologiczną, podobną do poli-

pa — zarówno zdrowy jak i chorobliwy przebieg życia jest wedle niego wynikiem normalnego działania naczyń. Tak więc Hunter zajmuje stanowisko na pół drogi pomiędzy Borelim i Bichat'em. Twórca anatomii ogólnej zwyciężył Huntera w jego dążeniu do wykluczenia mechanicznego poglądu na zjawiska życia, uwzględnia on je jedynie przy traktowaniu fizjologii zmysłów, poza któremi, jego zdaniem, fizjologia nie ma nic wspólnego z fizyką.

„Stosować nauki fizyczne do fizjologii, mówi on, — to znaczy objaśniać ciała żyjące prawami ciał bezwładnych. Jest to zasada błędna — wszystkie więc jej wyniki należy wrzucić w ką. Zostawmy chemii jej powinowactwo, fizyce — jej sprężystość i jej ciężenie, w fizjologii posługujemy się tylko kurczliwością i wrażliwością.“ (*Anat. gen.* p. 54.)

Z pomiędzy wszystkich twierdzeń tego znakomitego człowieka — ostatnie jest najmniej szczęśliwe. Jeśli pomysłmy dziś o postępach fizjologii — to przyjdziemy do wniosku zupełnie usprawiedliwionego, że każdy nowszy podręcznik fizjologii — składa się dziś w połowie przynajmniej z prawd fizycznych i chemicznych — i że na naukę o kurczliwości i wrażliwości fizyka wraz z chemią wywarły wpływ najpotężniejszy.

Pomimo to Bichat oddał wielkie usługi fizjologii — wygłaszając pogląd, że to, co nazywamy życiem w wysoko uorganizowanym zwierzęciu, nie jest bynajmniej jakąś uosobioną jednostką, lecz syntetycznym zbiorem przejawów niezależnego życia rozmaitych części organizmu.

„Każde zwierze jest zbiorem najrozmaitszych organów, z których każdy działając w sobie właściwy sposób, przyczynia się do utrzymania całości. Organy są to jak gdyby maszyny częściowe, składające całość jednej wielkiej maszyny. Te to właśnie częściowe maszyny składają się z najrozmaitszych tkanek, stanowiących bezsprzecznie elementy organów“ (*Ibid.* p. 79.).

Idea samodzielnego życia <sup>1)</sup> może się stosować tylko do tych elementarnych tkanek, nigdy zaś do złożonych, całkowitych organów (*Ibid.* p. 84.).

Bichat stosuje tę *syntetyczną teorię życia*, jeśli mi ją wolno tak nazwać, do patologii. Ponieważ choroby są to poprostu zmiany własności życiowych, ponieważ nadto rozmaite tkanki różnią się pod względem tych własności, więc rzecz prosta, iż muszą się

<sup>1)</sup> To jest przekonanie o samodzielnym występowaniu wszystkich zjawisk życia w drobnych częściach organizmu (P. T.).

— Nie płacz królowo! Zapominasz, że jestem Delfinem a Delfin nie może umrzeć w podobny sposób.

Królowa płacze jeszcze głośniejsze, tak że obawa zdejmuję młodziutkiego Delfina:

— Ach dość już tego! szepcze. Ja nie chcę umierać i potrafię stawić opór śmierci, gdy poważy się wejść aż tutaj! Niech czterdziestu najdzielniejszych rycerzy ze straży przyboecznej, gotowych na naszą obronę, zajmie tutaj posterunki... niech sto armat i sto artylerzystów z zapalonymi lontami stanie pod naszymi oknami, niech dzień i noc czekają naszego rozkazu! Bieda śmierci, gdy ośmieli się zbliżyć do naszego łóża...

Królowa nie śmie sprzeciwić się życzeniom potomka, wydaje rozkazy i oto, prawie w tej samej chwili, słychać huk i turkot zataczanych dział na dziedziniec pałacu a czterdziestu olbrzymich, uzbrojonych od stóp do głowy gwardzystów, zajmuje wokoło salę... Stare to wiarusa, z siwymi włosami. Ujrawszy ich, malenki Delfin klaszcze w ręce z radości. Poznał jednego i krzyknął:

— Wawrzyniec! Wawrzyniec! Żołnierz postąpił krok naprzód.

— Kocham cię bardzo, mój stary Wawrzyniec! Wydobądź z pochwy twój potężny miecz! Jeżeli śmierć zbliży się aż do mnie, i zechce pochwyć... tnij na prawo i lewo... Wszak zabić ją trzeba! Co!

— Zabię, Wasza Królewska Wysokości; odpowiada gwardzista, adwie lzy, jak dwie wielkie perły stoczyły się po opalonej twarzy wiarusa.

W tej chwili do Delfina przybliży się spowiednik i ukazując na wizerunek Chrystusa, coś długo szepcze mu na ucho. Delfin słucha z mocnem zdziwieniem a potem nagle przerywając, woła:

— Doskonale zrozumiałem cię ojcze, ale jeżeli się zapłaci grubo... wreszcie czyliż mój przyjaciel Beppo nie może umrzeć w miejsce moje?

Spowiednik znowu szepcze mu coś do ucha, a na twarzy Delfina coraz większe maluje się zdziwienie.

Nareszcie, skoro spowiednik skończył swoją mowę, malenki Delfin odpowiada mu, głęboko wdychając:

— Wszystko, co słyszałem od ciebie, ojcze, bardzo smutne, ale tylko jedno mię pociesza, a mianowicie: że tam, w niebie, w nadziemskim raju, znowu będę Delfi-

nem. Wiem, że Bóg... mój dobry przyjaciel i niezawodnie nie zapomni o mojem królewskim pochodzeniu...

Następnie dodał, zwracając się do matki:

— Każ przynieść mi najlepsze ubranie... mój gronostajami podbity płaszcz, jedwabne, balowe trzewiki; chcę ustroić się do aniołów i wystąpić w raju w całym przepychu prawdziwego Delfina...

Po raz trzeci spowiednik nachyla się do malenkiego Delfina i znowu coś bardzo długo szepcze mu na ucho.

— W takim razie, odpowiada z gniewem Delfin, być królewiczem lub zwykłym, pospolitym człowiekiem wszystko jedno!

I nie chcąc dalej słuchać przemowy spowiednika odwraca się do ściany i gorzko... płacze!

## II.

### Na łonie natury.

Pan Prefekt objezdza prowincją. We wspaniałej karecie, z forysem na wysokim koźle, z lokajem z tyłu powozu, pan Prefekt spieszy na zebranie gminne w Combeau-Feu. Na tak solenną uroczystość pan prefekt wystąpił w haftowanym złotem



one także różnić i chorobami, jakim ulegają. W jakimkolwiek bądź organie, złożonym z rozmaitych tkanek, jedne mogą być choremi, inne zaś mogą pozostać zupełnie nienaruszonymi, co istotnie ma miejsce w największej liczbie wypadków.

Bichat wygłosił nawet prawdziwie prorocze zdanie, że anatomia patologiczna wejdzie z czasem na zupełnie nowe tory. Szczegółowy rozbiór organów doprowadził do poznania tkanek, tych fizjologicznych jednostek sumy zwanej organizmem. Następne pokolenie, badając tkanki, doszło do poznania komórek, tej fizjologicznej jednostki sumy, zwanej tkanką. Współczesne badania historii rozwoju doprowadziły do tych samych rezultatów. Zarówno zoologowie, jak i botanicy, badając najprostsze i najpierwotniejsze formy istot ożywionych, przyszli do zupełnego stwierdzenia teorii komórkowej, chociaż przeciwnie na pozór poglądy fizjologów występowały z nią (teorią komórkową) do walki, aż do połowy ostatniego wieku.

Nie sposób jest nie uznać, że pogląd Descartes'a, uważający istotę żyjącą za maszynę, której działanie można objaśnić na zasadzie znanych praw materii i ruchu, zawiera w sobie bardzo wiele prawdy. Lecz z drugiej strony niemożna zaprzeczyć, że ciało każdego żywego organizmu składa się z niezliczonego mnóstwa jednostek fizjologicznych, do których można w zupełności zastosować zdanie Wolffa, że są „*plynem, mającym *vis essentialis* i *solidescibilitas**“”. Tłumacząc to orzeczenie Wolffa na powszechnie używany dziś język — wypadnie nam powiedzieć, że każdy element fizjologiczny zawiera w sobie *protoplazmę* (pierwoszczę), ulegającą charakterystycznym metamorfozom i matabolizmowi (zmianom czynnościowym). Jeśli więc zapragnęlibyśmy dzisiejsze nasze wiadomości podciągnąć pod pogląd Descartes'a — tedy jego *maszynę* moglibyśmy odszukać tylko w tem, co układa jednostki fizjologiczne w jedną całość organiczną i skierowywa ich funkcyje ku jednemu celowi życia.

W rzeczywistości ciało istoty żyjącej jest maszyną, którą można porównać do armii, lecz nigdy do zegaru lub maszyny hydraulicznej. W tej armii żołnierzem jest komórka, brygadą jest organ; ośrodki nerwowe stanowią kwaterę główną i sieć telegraficzną — układ naczyński jest intendenturą. Straty zastępują nowozacieczni rekruci. Życie więc osobnika można porównać do kampanii, prowadzonej zwycięzko, lecz kończącej się niechybną porażką, którą na długo przewidzieć można.

Wartość armii w danej chwili zależy

z jednej strony od zdrowia żołnierzy, z drugiej zaś od doskonałości systematu, przygotowującego ją do walki na dany znak. Tak więc, jeśli nasza analogia jest trafna, możemy twierdzić, iż są dwa rodzaje chorób — jedne będą skutkiem nienormalności w jednostkach fizjologicznych, — drugie zaś wynikiem ze zmian w mechanizmie koncentrowania życia i dostarczania mu materjału.

Powstanie teorii komórkowej w biologii musiało w logicznym następstwie wywołać zrodzenie się patologii komórkowej.

Tak więc związek między medycyną i biologią jest jasno określony. Patologia naukowa jest tą częścią biologii, która bada perturbacye (uchylenie się od normy) w życiu komórek i w mechanizmie porządkującym ich czynności; wszelkie uchylenie się od normy obu tych rodzajów zjawisk warunkuje wystąpienie choroby.

Ci, którym nie jest obcym dzisiejszy stan biologii, zgodzą się z pewnością na to, że pogląd, uważający życie zwierzęcia za zbiór przejawów życia oddzielnych komórek, działających harmonijnie w celu utworzenia jednolitej całości, jest ważną i piękną zdobyczą fizjologii. Lecz ostatnie strzały walki pomiędzy teoriami animistów i fizyków godzą dziś już w inny punkt — tyczą mianowicie pytania, czy analiza zjawisk życia może postąpić jeszcze dalej?

Niektórzy utrzymują, że protoplazma ma te własności, które Harwey przypisywał niegdyś krwi: *Summa cum providentia et intellectu in finem certum agens, quasi ratiocinio quodam*. Oni to, z równą jak Bichat niechęcią odrzucają wszelkie usiłowania zrozumienia i zbadania zjawisk wzrostu, metabolizmu i kurezliwości — oni to błędzą w dalszym ciągu tak samo, jak błędzili starożytni i tylko w skutek demokracji, którą jeden z wielkich pisarzy uważa za cechę bieżącego stulecia, — zastępują oni jedną wielką monarchiczną duszę (*anima*), przez miliardy małych duszek (*animulae*), nader demokratycznych i burzliwych.

Inni przeciwnie, ożywieni gorącą wiarą w możliwość zastosowania wszędzie zasad Kartezjuszowskich, i widząc, że zjawiska życia są ostatecznie tylko zmianami w położeniu cząstek materii, ufają fizyce cząsteczkowej i liczą na nią, że im pomoże do zrozumienia protoplazmy i objaśnienia jej mechanizmem molekularnym. Jeśli teorie fizyczne są choć trochę prawdziwe — to ta olbrzymia przepaść, jaką upatrywał Bichat pomiędzy materją żywą i martwą — nie istnieje w rzeczywistości.

W przyrodzie nie ma spoczynku, nie w niej nie jest bezkształtnem. Najdrobniej-

sza, elementarna cząstka tego, co ludzie ciemni zwa „materją surową“ — jest olbrzymim zbiorem mechanizmów molekularnych, wykonywających bardzo złożone ruchy z zadziwiającą szybkością — i przystosowywujących się z cudowną doskonałością do wszystkich zmian w świecie zewnętrznym. Żywa przyroda różni się od martwej tylko w stopniu, a nie w rodzaju; mikrokosmos jest podobny zupełnie do makrokosmu, cały łańcuch połączeń i przyczyn jednocy mglawicę — rodzicielkę słońce i układów planetarnych z protoplazmatycznymi tworami życia i organizmów.

Z tego punktu widzenia patologia zupełnie odpowiada tej części astronomii, która bada perturbacye. Terapia ma na celu wyznalezienie sposobów, z pomocą których możnaby wprowadzić do organizmu pewien systemat sił, zdolnych do usunięcia wszystkich perturbacji. Terapia opiera się na farmakologii, zupełnie tak samo jak patologia — na normalnej fizjologii. Farmakologia zaś jest tylko tą częścią biologii, która bada wpływ rozmaitych czynników na organizm żyjący — po za fizjologią, nie daje się usprawiedliwić naukowo istnienie farmakologii.

Sądzę, iż nie może lepiej wykazać wielkiego postępu medycyny ku ideałowi, wskazanemu przez Descartes'a, jak porównanie dzisiejszej farmakologii z tą, jaką ona była czterdzieści lat temu. Dość jest tylko zwrócić uwagę na postępowanie w poglądach o działaniu (*modus operandi*) atropiny, weratryny, strychniny, bromku potasowego, fosforu, by nabrać przekonania, że prędzej czy później — dziś lub jutro — farmakolog przyjdzie z pomocą lekarzowi i wskaże mu sposób, w jaki ma działać, aby wywołać w danej części organizmu żądane skutki. Można będzie z czasem wprowadzać do organizmu, coś w rodzaju dobrze skierowanej torpedy, która dojdzie do danych części organizmu, wybuchnie wśród nich i zniszczy to, co zniszczyć zechcemy — nie dotykając swą eksplozją części okolicznych.

Usiłowania, dążące do wyjaśnienia stanów chorobnych za pomocą zmian w życiu komórek, poznanie znaczenia pasorzytów dla etiologii chorób, objaśnienie działania leków, za pomocą naukowych metod fizjologii — wszystko to, mem zdaniem, zwiastuje olbrzymi postęp od czasu wprowadzenia medycyny na tory naukowe. Dodać muszę — iż postęp ten nie byłby możliwym bez postępu normalnej biologii.

Nie może więc być żadnej wątpliwości o wysokiem znaczeniu związku pomiędzy medycyną i naukami biologicznymi. Cała

mundurze, w kapeluszu z pióropuszem, w pantalonach z szerokimi ze srebra galonami, z przypasaną do boku szpadą o rekojesci z perłowej macicy. Na kolanach dygnitarza spoczywa ogromna teka, ze skóry z szagrenu, z ozdobnymi odciskami, na którą spogląda smutnym, zamysłonym wzrokiem.

Pan Prefekt ze smutkiem spogląda na tekę ze skóry z szagrenu, z ozdobnymi odciskami. W myśli powtarza już świetną mowę, jaką, za przyjazdem do Combe-au-Feu, powita zebranych:

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele!“

W nadmiarze zapału, pokręca jedwabiste, barwy ceglanej, wielkie faworyty i dwudziesty raz z rzędu deklamuje: „Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele.“ Mimo to przecież nie może dojść do końca owej świetnej przemowy.

Z dalszym ciągiem oracyi jakoś tępo idzie! Ach tak gorąco w tej przebrzydłej karecie! Droga do Combe-au-Feu, o ile wzrok nie myli, przedstawia się jak płaski obłok pyłu, przeświecający tu i owdzie promieniami słońca. Powietrze rozpalone. Tysiące koników polnych krzykliwym

skrzeczeniem wita się wzajemnie, obsiada chmurą młodziuchne krzewy, rosnące nad drogą a od wierzehu do spodu przysłonięte nieznosnym kurzem, tak lotnym jak pyłek maki... Nagle pan Prefekt zadrżał! Tam, w dali, u podnóża pagórka spostrzeżga niewielki gaj; wysokie dęby, zielone listkami, ramionami swych gałęzi przyzywają go do siebie, wabiają.

Maluchny gaj, uśmiechnięty zielenią, świeży, woniejący, zaciszny pociąga go ku sobie urokiem jakby wołał:

— Chodźcie do mnie p. Prefekcie! Tutaj, w cieniu mych drzew, daleko wygodniej — swobodnie płyną myśli i tworzą się wielkie uroczyste mowy!

Pan Prefekt zachwycony.

Wyskakuje z karety, nakazując służbie, ażeby zaczekała na niego, gdyż idzie do małego dębowego gaju, celem ułożenia okolicznościowej mowy.

W maluchnym, dębowym gaju, pełno ptactwa, fiołków i strumyków, szemrzących rozkosznie pośród miękkiej murawy... Kiedy pan Prefekt w srebrnych galonach i w hafcie ze złota, z wielką teką pod pachą ukazał się w lasku... ptactwo zamilkło z obawy, strumyki ucichły, fiołki ukryły

wonne główki w trawę zieloną. Cały ten mały światek nie widywał nigdy panów prefektów; obywatele leśni pytają siebie nawzajem, — przyjaciel przyjaciela, sąsiad sąsiada zapytuje, szepeąc: kto to jest ten wielki pan, przechadzający się po lasku w mundurze haftowanym złotem, w pantalonach, ozdobionych szerokim galonem ze srebra?

Słychać donośne szepty w gęstwinie: kto to jest ten wielki, wspaniały pan w mundurze haftowanym złotem, w pantalonach ozdobionych szerokim galonem ze srebra?

Tymczasem pan Prefekt, zachwycony ciszą i świeżością lasku, kładzie na trawie kapelusz z wielkim pióropuszem, podwija polny mundur i siada na mehu pod cieniem młodego dębu; potem otwiera spoczywający na kolanach portfel i wydobywa wielki arkusz papieru.

— To artysta! — woła makolągwa.

— Nie — odpowiada pliszka, to nie artysta, ponieważ ma pantalon z wielkim galonem ze srebra; prędzej to jakiś książę.

— Ani artysta, ani książę — wtrąca głośno stary słowik, który przez całe lato śpiewał w ogrodzie prefekta; ja wiem, kto to taki... to... prefekt!



przyszłość patologii i terapii, a więc i medycyny praktycznej zależy od większej lub mniejszej gotowości medyków w stosowaniu ogólnych zasad biologii.

Na zakończenie pozwolę sobie dodać, że trudno o poważniejsze zadanie dla kongresu lekarzy nad to, by postarał się on wykazać szczegółowo, w jaki sposób należy prowadzić studia medyczne, aby uczeń mógł nabyć jaknajgłębszych wiadomości o życiu roślinnym i zwierzęcym, bez których, pomimo olbrzymie postępy medycyny naukowej — musi niestety pozostać prostym empirykiem.

## PIŚMIENICTWO POLSKIE.

### I.

**Olbracht Łaski**, wojewoda sieradzki. Wizerunek historyczny na tle dziejów Polski XVI wieku, przez *Aleksandra Kraushara*. Warszawa i Kraków, 1882 r. 8-a, tom I, str. 273, tom II, str. 200.

W Rzeczypospolitej XVI stulecia kilku z rodziny Łaskich pozycje zajęło wpływowe i w sprawach publicznych rolę odegrało wydatną. Na przodzie stoi kodyfikator prymas, zręczny w robotach dyplomatycznych, intrygach i pierwszy w Polsce papieski *legatus natus*; tuż za nim idą synowie: Hieronim, Stanisław i Jan, z których pierwszy posłował do Niemiec i Turku, drugi — przy boku króla francuskiego, Franciszka I, walczył we Włoszech i przeszedł niewolę, aż, do ojczyzny wróciwszy, za jej sprawami jeździł do obcych; trzeci, proboszcz gnieźnieński, pojął niewiastę, przebywał w Anglii, Danii i Niemczech, walczył z katolicyzmem i nowe organizował kościoły. Syn Hieronima, Olbracht, urodzony w r. 1533, z Anny z Rytwian Kościeleckiej w kesmarskim zamczysku na Spizu, tyle w życiu głośnych naczynił awantur, tyle hałasował i broił, że dziejopisa duża chęć bierze o przypadłościach jego grubą napisać księgę, pospolitemu zaś człeku z bohaterem takim przystoi poznać się bliżej.

W dziewiątym roku życia osierocony przez ojca, w dwiętnastym przez matkę, dziedzic dóbr wielkich na Węgrzech i w Polsce, na zamku kesmarskim na rozrywkach płochych czasu nie trawił. Oprócz rycerskich harców i ćwiczeń w językach

a dziejach, za wpływem głośnego Szlązaka, Adama Schroetera, studiował medycynę i chemię, wtajemniczał się w nowe filozoficzne kierunki i został kalwinem. Choć się w r. 1558 ożenił z wdową bogatą i ładną, rychło jednakże ponęty uciech małżeńskich odepchnął, a zamarzył o sławie. Przybył właśnie do Polski awanturniczy pretendent do gospodarstwa w Mołdawii, Jakób Heraklides, i z Olbrachtem bliższy związał stosunek. Chciwy wojennych laurów, zobowiązał się Łaski własnem staraniem panującego hospodara, Aleksandra, wypędzić, na jego miejscu Heraklidesa posadzić, wymawiając sobie korzystną w Mołdawii pozycję i zwrot kosztów wojennych. Poparty przez dysydencką szlachtę małopolską, zamierzającą, przy zmianie stosunków, wyznanie swoje rozkrzewić w Mołdawii, Łaski, wbrew interesom Rzeczypospolitej, w r. 1561 z Kesmarku wyruszył na boje. Po walnej utarczce, Heraklides zajął Sochawę i objął rządy, protektor zaś jego został wodzem naczelnym i znaczne w nagrodę otrzymał dobra. Rychło jednakże pomiędzy przyjaciółmi przyszło do waśni. Skoro hospodar nie chciał wypłacić żądanej sumy kosztów wojennych, Łaski postanowił się zemścić: zamierzył zrzucić z tronu Heraklidesa, a na jego miejscu posadzić osobę własną. Że się w Mołdawii nowy zjawiał przeciwko Heraklidesowi pretendent, przeto nasz Olbracht, korzystając z zamętu, z księciem Dymitrem Wiśniowieckim co prędzej wtórą na ową krainę przedsięwziął wyprawę. Smutny przecież awanturnictwa tego był koniec: książę Dymitr wpadł w ręce Turków i w Konstantynopolu skonał na haku; Łaski, straciwszy nadzieję urzeczywistnienia swych marzeń, powrócił z niczem.

Po śmierci pierwszej żony, Katarzyny Seredy, związał się ślubem małżeńskim z naturalną córką Zygmunta I, z pięćsięciolletnią Beatą z Kościeleckich Ostrogską, matką spiewanej rymami księżniczki Halszki. Po weselnych uciechach zmusił małżonkę do darowizny dóbr wszystkich, poczem, jakby więźnia, w Kesmarku ją zamknął, sam zaś, wojewodą sieradzkim zostawszy, na szerokie pole działalności publicznej się rzucił. Pod Oczakowem rozgromił tatarów, przez co zasłynął w prozie i wierszach; na sejmie lubelskim w r. 1569 perorował za unią i dowodził potrzeby przepisów na wypadek elekcji, a oprócz tego gorący brał udział w religijnych dysputach i sporach. Znać silnych przekonań nie miał, albowiem z nuncyuszem Commendonim i z Hozyuszem w stosunkach zostawał bliskich i z gorliwego kal-

wina przedzierzgał się nagle w gorliwego również papistę. Na czynione przez dysydentów wyrzuty, tak żarliwie katolicką rzucił odpowiedź, że Hozyusz nawróconą owieczkę w listach swoich wyniósł pod niebo, a papież błogosławieństwo przysłał w nagrodę. Jednocześnie niósł pan wojewoda sieradzki służby swoje Tarnowskim i w sporze o dziedzictwo z hajdukami napadał na Tarnów; na własną rękę wchodził w układy z Wenecją, względem wyprawy na Turka, przyczem marzył o panowaniu w Mołdawii; gdy zaś ostatni Jagiełło dogorywał w Knyszynie, z agentami obcych monarchów zawiązywał stosunki, na różnych siadywał stołkach. — służył wszystkim i od wszystkich pobierał jurgiety. Wraz z Commendonim i Zborowskimi, natychmiast po skonie Zygmunta Augusta, zamierzał wojewoda wynieść do tronu jednego z synów cesarza i z Maksymilianem korespondował najtkliwiej; skoro jednakże Katarzyna Medycejska trząsnęła workiem, zaraz przeskoczył na stronę francuza, co nie przeszkadzało mu przecież dawnemu panu służyć i nadal, a nawet samemu z własną kandydaturą wystąpić. Poobiorze Henryka, pojechał Łaski w poselstwie do Paryża, gdzie, za wpływem Hozyusza i papieża, nalegał na króla, iżby pokoju religijnego, uchwalonego podczas bezkrólewia, nie uznał; zawiązał współcześnie w stolicy Francji romansik i po powrocie do kraju pojął znowuż niewiastę, pomimo tego, że na zamku w Kesmarku żyła jeszcze staruszka Beata.

Po ucieczce Henryka, z francuzem Łaski nie zrywał, szukał przecież stołka drugiego i wszedł w stosunki z cesarzem; korzystając zaś z chaosu bezkrólewia, Lanckoronę najechał zbrojnie i z ręką dożywniczkę ją wydarł; w zatargach sąsiedzkich porywał szlachtę i torturami ją męczył, — prawu urągał i rozdmuchiwał pożar wojny domowej. Na elekcji trzymał stronę Maksymiliana, po którego okrzyknięciu, jeździł do niego w poselstwie, prosząc, iżby bez zwłoki armię wysłał do Polski dla poskromienia „buntowników“ t. j. Batorego przyjaciół; wróciwszy do kraju, zamierzał przeciwko Stefanowi wystąpić zbrojnie, — werbował i gromadził oręż. Upadek Maksymiliana wielkim dla Olbrachta był ciosem: wyzuty z Lanckorony i pozbawiony dochodów, w czerwcu r. 1576 Polskę opuścił.

Z zagranicy pobudzał Gdańszczan do buntu, od cesarza Rudolfa brał za posługi pieniądze, order i wino; nagabnięty nawet został przez Iwana Groźnego, iżby namówił Austrię do najazdu na Polskę. Na

I nagle rozległ się szepot po całym lasku: — To prefekt! To prefekt!

— Jaki on łysy! — czyni uwagę skowronek z dużym czubkiem.

Fiolek pyta:

— Czy to co złego?

— Bynajmniej — odpowiada stary słowik i w tem mniemaniu, ptaki nanowo zaczynają urwaną piosenkę, fiołki napelniają wonią powietrze, szemrzą uroczym strumieniem... jak gdyby tego jegomości wcale tu nie było.

Niebiorąc udziału w przyjemnym rozgwarze, pan prefekt myślą przyzywa boginię wymowy i podniósłszy do góry wskazujący palec, zaczyna deklamować patetycznym tonem:

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele!“

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele!“ — powtarza prefekt patetycznym tonem. Wybuch śmiechu tamuje dalszą mowę. Obraca się w około, ale nie widzi, oprócz wielkiego, zielonej barwy dzieciola, który usiadłszy na jego kapeluszu, szyderczo patrzy mu w oczy. Pan prefekt wzrusza ramionami, chce kończyć rozpoczętą mowę, ale dzieciół znowu mu

przerywa i zdala odzywa się do niego: „Czego żadasz?“

— Jakto? — pyta zdumiony prefekt, oblewając się szkarłatnym rumieńcem; a następnie odganiając nieznośnego natręta — mówi z większym jeszcze patosem:

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele!“

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele!“ — zaczyna prefekt z większym jeszcze patosem... ale oto maluchne fiołki chyliły ku niemu wonne główki, szepecząc cicho:

„Panie prefekcie, czy i tobie tak dobrze tutaj jak nam?“

Strumyki, płynące pod mechem, szemrzą mu czarujące melodye; pośród listków ukryte makolągwy dzwonią donośną, wdzięczną pieśń i cały lasek grzmi zbiorową harmonią, jakby naumyślnie chciał mu przerwać myśli i niedopuszczyć do utworzenia powitalnej mowy.

P. Prefekt, upojony wonią i melodyą lasu, nadaremnie broń się urokom i nieznanym czarom. Rzuca się na trawę, rozpina mundur, błyszczący złotem i jeszcze raz, czy dwa powtarza niezrozumiale:

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele!... Miłościwi panowie i drodzy

moi współ... Miłościwi panowie i drodzy...“ Nareszcie... drogich współobywateli... odsyła do dyabła... a muza wymowy... rąbkiem dziewczym... osłania oblicze... które wstyd rumieni...

O tak, bogini wymowy... osłoń oblicze swoje... rąbkiem dziewczym... ukryj wstyd rumieniacz twoje jagody!... Bo oto... miały godziny, służba w trwożnej obawie czekała na pana, a gdy wiedziona śmiertelnym niepokojem weszła nareszcie do dębowego gaju, dziwna scena przedstawiła się jej oczom:

Pan Prefekt, z włosami w nieładzie, w rozpiętej na piersiach, jak cygan koszu, leżał na trawie na brzuchu: zrzuciwszy mundur haftowany złotem, mnąc w palcach wonne fiołki... on... prefekt... pisał sonet... tworzył wiersze jak student.

S. M.



propozycję taką wstrząsnęła się dusza Olbrachta, więc „chłopie!“—do posła moskiewskiego zawołał;—„by mi nie szło o dwór carski, tedybym ci ten list dał zjesz z czemś niesmacznem i nauczyłbym cię ludzi uczciwych doświadczać... Aleć tak powiadam: nie noś mi drugi raz takiego, bo pewnie zjesz...“ Wkrótce, czy z przyczyny skrupułów, czy dla korzyści, wrócił do kraju, Batorego przeprosił i w sprawach krajowych znowu żywy wziął udział.

W r. 1583, niewiadomo dla czego i po co, odbył podróż do Anglii. Jako książę Albert Alasco zyskał względy królowej Elżbiety; podczas zwiedzania okolic Anglii przez uczonych i mieszczan podejmowany był hucznie; przysłuchiwał się w Oxfordzie dyspuście Giordana Brunona z miejscowym światem uczonych i osobisty nawet w dyskusji, dotyczącej systemu Kopernika, brał udział. Nadwyrężone mające kieszenie, z alchemikami poszukiwać począł kamienia filozoficznego; skoro zaś próby speliły na niczem, przed natarczliwością wierzących uciekł z Anglii tajemnie. Po powrocie do kraju, podczas nowego bezkrólewia, stawiał Łaski po raz trzeci kandydaturę swoją do tronu, wszedł w końcu w stosunki z Zamojskim i popierał Zygmunta. Wynagrodzony za usługi starostwem, podczas zatargów króla z Karolem Sudermańskim, odbył podróż do Szwecyi, a w r. 1605 — burzliwego życia dokonał.

## II.

Dla nakreślenia wizerunku Łaskiego przedsięwziął p. Kraushar poszukiwania mozolne i kosztujące немало: szperał po różnych, zagranicznych przeważnie archiwach; wertował druki stare i nowe, krajowe i obce. Materiału nowego zgromadził dużo, nie odszukał jednak wszystkiego, co więcej — nie wyzyskał rzeczy, zawartych w artykułach i książkach.

Podanych w rozprawce Malinowskiego p. t. *Jakób Heraklides i Olbracht (Teki wileńska z r. 1858, n. t. III, str. 135 — 183)* tak cyfr jak faktów, p. Kraushar nie zużył: nie wytłomaczył np. skąd bohater na wyprawę mołdawską werbował żołnierzy i nie przytoczył ich liczby; nie określił należyte stosunku Olbrachta do Heraklidesa, gdy ostatni objął już rząd; nie wyłuszczył wszystkich powodów powrotu Łaskiego do kraju i t. p. Wogóle rozdział VII tomu pierwszego dzieła p. Kraushara, w porównaniu z rozprawką Malinowskiego, tak pod względem bogactwa faktów, jak i przedstawienia motywów, kierujących ruchami osobistości naczelnych, blady jest bardzo. Nie skorzystał również szanowny autor i z korespondencji Commendoniego. W liście do kardynała Karola Boromeusza z d. 21 stycznia 1564 r., taką znajdujemy wiadomość: „W tej chwili dało się słyszeć od sługi pana Łaskiego, że w tych dniach multani, trzymający wobleńiu despotę w twierdzy Soczawie, umawiali się z żołnierzem węgierskim, które despotę sprowadził był dla swojej straży i skłonili je nakoniec do wydania i despoty i twierdzy, przyrzekając mu, czego żądało; lecz kiedy przyszło do wykonania umowy, nowo-obrany wojewoda przez multanów (Tomza), rozkazał ściąć głowę despotie (Heraklidesowi), a razem i wielkiej części węgry; polakom zaś, niemcom i kilku włochoom, znajdującym się w tejże straży, poobcinano nosy i uszy. Pan Łaski, dowiedziawszy się o tej umowie, udał się był w 1,500 ludzi, lecz już było po czasie, bo wspomniany nowy wojewoda przećwiłko niemu wysłał 3,000 ludzi, aby go rozgromić; lecz miał jeszcze zręczność cofnąć się i ocalić, nieutraciwszy tylko trzech czy czterech ze swoich“ (*Pamiętniki o dawnej Polsce*. Wilno, 1851. T. I, str. 35). Listy: z d. 10 lutego, z 3 marca i 12 kwietnia 1564 r. (*Tamże*, str. 58, 70 i 124) doty-

czą sprawy Chocimia, który Łaski w swoim miał rękę; pod datą zaś 7 marca czytamy pogłoskę (*Tamże*, str. 82), „że p. Łaski napadł i rozbił 800 jazdy Tomży, wojewody, ściganego przez Aleksandra i że uwięził samego Tomzę i Marię, oraz innych główniejszych wychodźców wołoskich.“ Czy Olbracht województwo sieradzkie otrzymał po stryju Stanisławie (*Kraushar*, I str. 83), mamy wątpliwość, wobec listu Commendoniego z d. 3 grudnia 1564 r., w którym czytamy wzmiankę o wojewodzie sieradzkim, Januszu Kościeleckim, (*Pamiętniki*, I str. 233). Pogłoski, zawarte w listach, choćby niektóre były i błędne, malują stopień natężenia owego interesu, jaki Łaski awanturniczą wyprawą budził w ojczyźnie; inne znów szczególnie na wypełnienie obrazu wpłynęłyby mogły korzystnie.

Do udziału Łaskiego w sprawach pierwszej elekcji, niekorzystał znowu p. Kraushar z rozprawki Wierzbowskiego p. t. *Zabiegi Cesarza Maksymiliana II o koronę polską 1565 — 1576* (*Ateneum* z r. 1879. T. III str. 407 — 446. T. IV str. 51 — 89). Ponieważ rozprawka owa jest „streszczeniem materiałów, zebranych w archiwum cesarskiego domu, dworu i państwa w Wiedniu,“ dobrą przeto daje wskazówkę, o ile autor dzieła o Łaskim, z tegoż samego czerpiący źródła, odnośne dokumenty wyzyskał i czy dokładnie rolę Olbrachta na schyłku panowania Zygmunta Augusta i później przedstawił. Otóż, umieściwszy Łaskiego pomiędzy wpływami Austrii i Francyi, p. Kraushar niedość wyraźnie środki, ku skaptowaniu wojewody podjęte przez dwory, zaznaczył i zamało zgromadził materiały, by postępowanie Łaskiego przedstawić rzetelnie. Szanowny autor o ważnej misji agenta austriackiego, Stoltza, bardzo mało umiał powiedzieć, tymczasem wpływ jego do tego stopnia był ważnym, że dzięki jemu Łaski, otrzymawszy 12,000 złotych, z cesarzem i posłami w stosunki wszedł bliskie i zdawał się być zdecydowanym stanowczo do wyłączenia służenia Habsburgom. (*Ateneum* z r. 1879. T. III, str. 430, 435). W pierwszych dniach stycznia 1573 r. za posadzenie na tronie Ernesta następujące podyktował warunki: 1) dostanie orderu złotego rżnia; 2) ziemię wołoską w wielkorządztwo; 3) starostwo spiskie; 4) pewną sumę gotowymi pieniędzmi; 5) przyszyły król zapłaci jego długi. „Na te warunki cesarz odpowiedział, że jeżeli za przyczyną Łaskiego, Ernest będzie obrany na króla, to, co się tyczy I-go, Maksymilian wstawi się do króla hiszpańskiego i kapituły orderu o udzielenie takowego Łaskiemu i spodziewa się, że jego wstawienie nie pozostanie bez skutku; 2) względem ziemi wołoskiej cesarz nie może wziąć na siebie zobowiązań, ani jego syn, gdyż takowa znajduje się w rękach tureckich i dla odebrania jej trzeboby z Turkami prowadzić wojnę, czego, bez pozwolenia stanów, Ernest, jako król, nie mógłby zrobić; cesarz jednak za siebie i za niego obiecuje obecnie pomagać Łaskiemu w tej sprawie w przyszłości; 3) jeżeli wojewoda lubelski zrzecze się starostwa spiskiego, to ono będzie dane Łaskiemu; 4) co do gotowych pieniędzy, cesarz poleca swoim posłom wpływać na Łaskiego, ażeby cofnął ten warunek, wystawiając mu, na jakie niebezpieczeństwo siebie a imię swoje w pogardę by podał, jeżeliby się o tem dowiedziało, co nie jest niemożliwym, osobiście w tym czasie, kiedy trudno sekreta dochować; 5) wreszcie co do długów, ręczył Maksymilian za syna, że okaże się takim, iż Łaski będzie mu tylko wdzięczny. Jak widzimy, cesarz nie przyjął stanowczo żadnego z podanych przez Łaskiego warunków, nie ofiarował mu na ich miejsce innych, a co ważniejsze — nie dał piśmiennego zobowiązania, że dopełni nawet tego, co obiecywał; mimo takiej odpowiedzi polecił posłom traktacyi z Łaskim nie zry-

wać i zatrzymywać go takowemi obietnicami. Lecz to nie pomogło: podobna polityka nie mogła zadowolnić wojewody sieradzkiego. Nie spodziewając się ze strony cesarza niczego pewnego, przechylił się na drugą, na którą przynęcał go francuski poseł pochlebstwem, złotem i obietnicami daleko świetniejszemi, niż cesarskie“ (*Tamże*. T. III, str. 435). Po ucieczce Henryka, znajdował się Łaski pomiędzy tymi, którzy najwcześniej cesarzowi ofiarowali usługi i 8,000 zł. otrzymał w nadgodę (*Tamże*. T. IV, str. 54 i 60).

P. Kraushar i pamiętników Jeana Choinina nie wyzyskał gruntownie, pominął np. szczegół, który hipokryzję Łaskiego maluje wybornie. Skoro poseł francuski, biskup Montluc, stanął w Koninie, senat wydelegował Łaskiego, iżby wziął na siebie staranie o wygody francuza. Wojewoda obowiązek ten przyjął, lecz tak był oburzony na francuzów, kiedykolwiek stanął mu przed oczyma krwawy i okropny obraz rzezi, który dzień św. Bartłomieja pamiętnym uczynił, iż i razu u biskupa nie powstał (*O elekcji Henryka Walezyusza*, Wilno 1818, str. 90). Wkrótce ten sam tklivy p. Łaski brał francuskie pieniądze, czego mu publicznie dowodzono na sejmie.

Zaniedbanie źródeł, ogłoszonych już drukiem; z drugiej strony niedostateczność materiału, wydobytego przez autora z archiwów, spowodować musiały rozliczne w wizerunku Łaskiego braki. O latach jego młodzieńczych i wychowaniu, nad ogólniki, radzibyśmy wiedzieć coś więcej. Aż do wyprawy mołdawskiej, trzymając autor Olbrachta na zamku kosmańskim, tymczasem mamy poszlaki, że wojażował po świecie. Choinin pisze, że Łaski „długo przebywał we Francyi“ (*O elekcji*, str. 90), naturalnie przed poselstwem w r. 1573. Kiedy i wśród jakich okoliczności stał się Łaski z kalwina papistą; po co jeździł do Anglii; co go zbliżyło do Zamojskiego? — wszystko to w dziele p. Kraushara stanowi zagadkę. W ogóle szanowny autor w psychiczne pobudki działań nie wgląda, organicznego pomiędzy czynami związku nie szuka; — luźnie tylko zestawia fakty, nie nadając ważniejszym odpowiedniego akcentu. Z tego powodu w dziele p. Kraushara czytamy wiadomości o Łaskim, lecz nie znajdujemy charakterystyki człowieka; mamy w niem materiał do rysów lub rysy, nie zaś wizerunek skończony i jasny.

Chociażby autor rozporządzał materiałem kompletnym, to przecież musiałby bohater z pod pióra jego wyjść blade, bo nie zna p. Kraushar umiejętnej metody badania i dziejopisarskiego pozbawiony jest kunsztu. Dla nakreślenia postaci historycznej, przedewszystkiem przedstawić należy tło czasu. Autor potrzebę tego rozumiał dobrze, szkoda jednakże, że tło owo na tytułowej tylko umieścił karcie. Zdaniem naszym barwę epoki stanowi nastrój umysłowo moralny społeczeństwa; p. Kraushar rozumie to widać inaczej, zamiast bowiem owego nastroju, przedstawił historię polityczną czasów Łaskiego. Dla zrozumienia roli bohatera to jest potrzebnem, lecz barwy owej nie zastępuje bynajmniej. Tło czasu jest kluczem do zrozumienia człowieka, tymczasem powódz wypadków politycznych dla osobnika często stanowi odęt. Właśnie w nagromadzonych przez p. Kraushara szczegółach politycznych, nie nowych wcale, a gęsto zbytecznych, bohater niknie. Bo też rozprawia autor o rzeczach, z głównym przedmiotem będących bez związku, jakby mu chodziło gwałtownie o napisanie dwóch tomów; z drugiej znów strony z materiałem, bezpośrednio dotyczącym Łaskiego, również w ten się obchodzi sposób, jakby mu chodziło gwałtownie o napisanie dwóch tomów. Potrzebaż było do Łaskiego pisane listy w tekście drukować w całości? czyż dokument, nadający bohaterowi starostwo, a podany *in crudo*, nie wpływa na rozwickłość wy-



kładu? Nie masz w dziele p. Kraushara należytego ustosunkowania materiału i koncentracji, a do tej wady przyczyniła się dużo i siekanina dzieła na drobniutki, niegenetycznie zestawione rozdziały.

Błędy w dziele p. Kraushara znaleźć można mało; historyczny sąd jego od wytrawności daleki jest bardzo. Czy rzeczywiście „tradycje o starodawnym kościele narodowym i języku narodowym w kościele, dźwięki którego rozlegały się ongi pod nawą jednej z świątyń Krakowa“ (I, str. 35), wpłynęły na szerzenie się reformacji w Polsce XVI stulecia? Czy zasady wyznania luterskiego w zestawieniu z kalwinizmem są istotnie „surowe i ascetyczne?“ (I, str. 38). Czy *Zimowa powieść* Szekspira dotyczy „zamierzchłych dziejów Ziemomysła polskiego“ (II, str. 220), czy też niezbyt zamierzchłych — jak dla Szekspira — czasów Ziemowita III? Biskup krakowski jeden był tylko (I, str. 330); nie godzi się utożsamiać województwa z prowincją (II, str. 24), ziemi z powiatem (II, str. 25). Samego Łaskiego p. Kraushar przecenia mocno. Pomijając podejrzany udział Olbrachta, jaki miał, według autora, przyjąć w dyspucie Giordano Brunona, nie pojmujemy zestawienia Łaskiego z Janem Zamojskim i orzeczenia, że „obu tych mężów ożywiała jednaka dla Rzeczypospolitej miłość, jednaka nieustrudzona działalność...“ (II, str. 281). Zdaniem naszym, Olbracht Łaski w porównaniu z Zamojskim jest tylko karlem, a dla uzasadnienia epitetu dzieło samego p. Kraushara dostarcza dowodów aż nadto.

Śmiemy w końcu zaznaczyć wątpliwość, czy Łaski „zrodził“ dzieci (I, str. 253), a nie możemy przemilczeć, że wyrażenia: *jak skoro* (I, str. 178), *odnosił się* (I, str. 227) zamiast *odwoływał*, *uśladawiać* (I, str. 242), oddawać się rozkoszom *swobodnych dni* (II, str. 161), wołają o pomstę...

Wł. Smoleński.

## PIŚMIENNICTWO ROSYJSKIE.

Na górach. Ciąg dalszy obrazów w *Liesach*. Opowiedział Andrzej Peczerskij. Nakładem M. Wolfa 1881 r. Petersburg i Moskwa.

Utwory literackie podobne są do śladów zostawionych na piasku.

Mysliciele przechodzą i zostawiają w książkach ślady swojego istnienia. Późniejsi spostrzegają po nich autora i, w miarę ich wartości, starają się go poznać.

Tak samo ze śladów na piasku wnioskujemy o tych, coje zostawili. W okolicach piaszczystych dziecko poznaje ślady ciałat swojego ojca. Członkowie jednej rodziny znają swoje ślady wzajemnie. Tym sposobem poznają bytność wilka, kierunek karawany, drogę lwa i strusia. Porównanie to ciągnie się daleko dalej. Utwory literackie z tem większą trudnością dają się poznać, im do dawniejszych należą czasów; ślady na piasku giną jeszcze prędzej. Ale tak samo, jak ślady, które zasychają, kamienieją i zostają na długo, dzieła umysłów ludzkich, skamieniałe w książce, służą w ciągu wieków za przedmiot badań krytycznych mikroskopów.

O ileż częściej spotykamy, przytem, ślady ciałat i kogutów niż — lwów i strusów!

Piśmiennictwo rosyjskie zyskało w tym roku ślad, o którym warto wspomnieć na stronnicach *Prawdy*. Czterotomowe obrazy Mielnikowa p. t. *Na górach*, które się pojawiły obecnie na półkach księgarskich Petersburga i Moskwy, są dowodem żywotności rosyjskiego piśmiennictwa. Po

stracie Dostojewskiego, publiczność rosyjska wodziła okiem dokoła, chcąc obliczyć siły, które jej pozostały. Oprócz znakomitości milezących, takich jak Turgieniew, na literackim horyzoncie dostrzegala ona mało punktów wybitnych. Do takich należał Sałtykow i Ostrowskij; do nich śmiało można zaliczyć Mielnikowa. Pod pseudonimem Andrzeja Peczerskiego, który wydaniem swojej powieści w osobnej szacie<sup>1)</sup>, przypomniał o sobie obecnie rosyjskiej publiczności, ukrywa się właśnie p. Mielnikow.

*Na górach* — to szereg obrazów obyczajowych, związanych nieią wypadków z życia jednej rodziny. Rodzina kupca, Marka Smołokurowa, składa się z trzech osób. Sam on mieszka nad Wołgą i prowadzi handel rybą. Jego córka jest główną bohaterką opowiadania. Brat, w czasie połowu ryb na morzu kaspijskiem, uniesiony na lodowcu na morze, dostał się do Mrwu i tam zostaje w niewoli. Po śmierci Marka — przez niego wykupiony — powraca. Marko nie jest typem nowym w literaturze rosyjskiej. Takich „kulaków“ widzieliśmy nieraz np. u Szczydryna, ale nie widzieliśmy typu tak starannie wycieniowanego, jak Marko. Marko obok Duni jest pierwszorzędną postacią w tej książce: autor pokazuje go nam na tle życia z nad Wołgi i Oki około r. 1847. Przez dwa lata widzimy Marka, jak „robi“ pieniądze, ożywiony miłością dla Duni. Ten cel uświęca mu nieświadomie środki. Na scenie widzimy szereg najobrzydliwszych oszustw, popełnianych przez Marka. Zdradza on różnych sobie, wyzyskuje najuboższych, a wszystko to robi w westchnieniem do nieba na ustach i z tą pociechą, że przysporzy majątku Duni. Za kulisami działy się zbrodnie, które bezwzględnie zaprowadziłyby Marka do kryminalu, ale autor okazuje je tylko na chwilę przed śmiercią sprawcy. Scena, w której pełnomocnik (przykaszczyk) jego, zakradłszy się w nocy do łóża sparaliżowanego pana, przypomina mu jego zbrodnie i żąda dwustu tysięcy, grożąc, że inaczej zgubi jego córkę — jest jedną z najlepszych w tej książce. Usunięcie tych zbrodni z sceny pozwoliło autorowi wystawić w pełnym świetle drobne, a wstrętne postęпки tego obywatela i rzucić światło na moralną wartość powszedniego życia rozpatrywanego typu.

W Duni, jak łatwo dopatrzeć, autor chciał uwidocznić ogólniejszą myśl społeczną. Ta dziewczyna odmalowana jest wogóle z wielkim wdziękiem. Najpiękniejsze i najdelikatniejsze barwy języka złożyły się na ten realistyczny posąg. Psychologiczna analiza przeprowadzona w niej po mistrzowsku. Ale oprócz tych stron, jest w tej postaci inna — nowa zupełnie. Bełtryści rosyjscy, począwszy od piszących artykułiki do samych poetów — wszyscy wymagają dzisiaj polityki. Od tego prądu nie jest wolnym Mielnikow. W Duni uprzytomnił on spostrzeżenie, które oddawna zajmuje myślicieli rosyjskich, mianowicie, że lud rosyjski nie zadowolnia się swoją wiarą i w tysiącznych sektach szuka ucieczki dla żądzy badania i zdobywania prawdy. Dunia wychowana w religii starowierców (raskoł) przechodzi do sekty chłystów. Przywiązanie do ojca i wstrętne zwyczaje tej sekty wyrwywają Dunię z przepaści, w której była prawie na dnie. Autor każe księdzu prawosławnemu ułatwić Duni ucieczkę i ocalić od losu, jaki później spotkał chłystów.

Postać księdza Prochora opisana jest różowym pędzlem. Postać to, w swoim rodzaju piękna, ale nie może wystarczyć za całą grupę przekonań, których przedstawicielem zrobił autor Prochora. W nie-

winnej walce zwycięża u autora religia państwowa. Raskoł i Chłystyzm, rozebrany został starannie. Badania pierwszego wypełniają cały tom pierwszy, a drugiego — cały trzeci. O religii państwowej mało więcej oprócz „miłości.“ Nie dziwne, że przy takim zapatrywaniu się autora, „sektanci“ wychodzą u niego z zarzutem, że zanadto poddają się żądzy badania. To najslabsza strona *Na górach*. Wszystkie dalsze plany opowiadania pominąłem, ale nie pomijam, że w liczbie tysiąca obrazów i osób, wchodzących do opowiadania, każdy obraz i każda osoba opracowane są niezmiernie starannie, a wiele obrazów ma wartość pierwszorzędną arcydziel.

Mówiąc, że dzieło Mielnikowa jest nabytkiem *Piśmiennictwa*, użyłem tego wyrazu rozmyślnie. Nieżyciowa jednej rodziny, którą zarysowałem wyżej, upoważnia do zapatrywania się na nie, jak na powieść. Ale *tylko* powieścią nazwać go nie można, i autor słusznie dzieło swoje nazwał opowiadaniem, chcąc stanąć pośrodku między naukowem studyum a powieścią. Nad tą drugą stroną zastanawiać się dłużej nie będziemy. To zadanie, które powinna podjąć krytyka rosyjska, wymaga więcej miejsca, czasu i specjalnej wiedzy niż posiada jej niniejsze sprawozdanie. Zaznaczmy tylko, że studia, które winne były poprzedzić napisanie *Na Górach*, musiały być olbrzymie. Opowiadanie to, jako studyum etnograficzne, jest przyczynkiem bardzo ważnym. Obyczaje miejscowe, język, stosunki społeczne, przekonania religijne mas, pamiątki przeszłości, rodowód ludzi, zwyczajów i przekonań; wreszcie duch narodu, który bije z każdego szczegółu, każą uznać w tem dziele wartość naukową.

Zarzut, zrobiony przeze mnie wyżej, stosuje się do poglądów filozoficznych autora, a nie do książki. Tendencja na polu religii nie zajmuje wiele miejsca i pochodzi wprost od autora, nie przechodząc nawet przez usta żadnego bohatera. Natomiast zarzut rozwlekłości dotyczy bezpośrednio dzieła. Niektóre sceny trzeciego tomu byłyby dobre w specjalnem studyum, ale na opowiadanie są bezwzględnie za ciężkie. Robią one wrażenie nużące. Częste oddalanie się od przedmiotu i ustępy objaśniające nasuwają czytelnikowi myśl, że autor w tem dziele chciał koniecznie zmieścić cały materiał zebrany na studiach. Taka myśl psuje naturalnie tę harmonię artystyczną, którą najlepiej odczuwamy w dobrej muzyce, a którą też czujemy przy czytaniu pieśni. Mielnikow w prozie ma tyle harmonii, że słusznie może być pod względem stylu porównywanym z autorami starożytnymi.

Na cudzoziemca język Mielnikowa robi wrażenie korzystne. Miętkość w scenach pieszczotliwych i miłosnych — głasze ucho jak delikatna rączka. Sceny takie i język spotykamy u Mielnikowa częściej niż u innych znanych rosyjskich autorów. Autor celuje w scenach erotycznych. W gmatwaniu pojęć religijnych ma bogaty zapas terminów. Sceny ludowe maluje z odpowiednią rubasznością, trzymając się wspaniałej naturalności kolorytu. Najlepiej jednak poznajemy język starowiersko-kupiecki, którym mówi prawie całe towarzystwo występujące w opowiadaniu.

Nie waham się zaliczyć dzieła Mielnikowa do tych śladów rosyjskiego piśmiennictwa, które można porównać do śladów lwa i strusia, a nie zwierząt pospolitych.

Al. Paradowski.

<sup>1)</sup> Drukowaną była w miesięczniku *Russkij Wiestnik*.



## Badania prawnicze.

O prawie rolnem w starożytnym Rzymie, napisał prof. dr. T. Dydyński. Warszawa r. 1881, str. 36.

Badanie i wyjaśnianie stosunków społecznych a zwłaszcza prywatno-prawnych starożytnego Rzymu po dziś jeszcze posiada znaczenie nie tylko czysto naukowe, ale nawet praktyczne. Nieprzerwany dotąd łańcuch, łączący wszystkie prawie nowsze prawodawstwa z jurysprudence rzymską, oraz historycznymi przewrotami prawodawczymi wszechwładnej ongi Romy, sprawia, że wyjaśnienie rzymskich instytucji prawnych rzuci niejedną cenną promień światła na współczesne nam stosunki i wykazuje ukryte w pomroce dziejów źródła żyjących i rozwijających się wśród nas zasad i poglądów. Z tych powodów nauka prawa rzymskiego liczy w Europie a zwłaszcza w Niemczech całe legiony pracowników i tysiące dzieł w najrozmaitszym kierunku i w najrozmaitszy sposób opracowywanych. W ruchu tym literatura nasza, rzecz można, udziału nie przyjmowała i nie przyjmuje. Obok kilku prac z charakterem propedeutycznym, jak Wacława Aleksandra i Franciszka Maciejowskich, Zielenackiego nie mamy na co się powołać. Profesor Dydyński zatem, który już przedtem napisał rozprawę o zastawie i hipotece w prawie rzymskim, oraz wydał i objaśnił instytucje Gaja, uprawia niwę bardzo u nas zapuszczoną, a przecież nadzwyczaj ważną i gdzieindziej wysoko cenną.

Prace nad prawem rzymskim wogóle można podzielić na dwa wielkie działy. Jedne z nich polegają na komentowaniu zasad prawa rzymskiego, zawartych przeważnie w zbiorze Justyniańskim, na wyjaśnieniu pojedynczych ustępów i ich praktycznego zastosowania. Są to prace głównie pandekstistów, mające cele w znacznej części praktyczne i rozpowszechnione szczególnie w Niemczech, gdzie prawo rzymskie do ostatnich czasów nie straciło mocy obowiązującej jako prawo ogólne. Druga kategoria prac nosi na sobie charakter bardziej naukowy, historyczny. Idzie w nich o sam rozwój prawa rzymskiego, o wykazanie przewrotów, jakie w ideach prawnych Rzymu pod wpływem różnych okoliczności politycznych i cywilizacyjnych się dokonały, o wykrycie wreszcie ogólnej idei, przenikającej ten historyczny rozwój, czyli ducha prawa rzymskiego. Do tej historii zaliczyć trzeba nową rozprawę prof. Dydyńskiego: *O prawie rolnem w starożytnym Rzymie*.

Komu nieobce są choćby w ogólnych zarysach dzieje rzymskiego państwa, ten wie, że kwestya agrarna odgrywała w nich pierwszorzędną rolę, że począwszy od wypędzenia królów aż do ostatnich lat republiki łączy się ona z najważniejszymi faktami historycznymi wewnętrznego rozwoju ludu rzymskiego. Od wyjścia na górę świętą do epoki Cezarów, od Spuryusza Kasyusza do Grakchów, trwa mniej lub więcej zacięcie, z większymi lub mniejszymi przerwami walka ekonomiczna klas społecznych o ziemię, walka zakończona wytworzeniem się ogromnych *latifundyów*, które „Rzym zgubiły.“ Słusznie twierdzi prof. Dydyński, że „żadna inna z tylu niezliczonych kwestyj, jakie rozstrzygały się w republikańskiej Rzymie, nie może pod względem swej doniosłości i żywotności iść z nią w porównanie; od trafnego bowiem jej rozwiązania zależało powodzenie i dobrobyt rzymskich i włoskich właścicieli ziemskich. Ale nad państwem — dodaje autor — zawisł był złowrogi fatalizm, wobec którego wszelka dążność ku lepsze-

mu roztrącała się o brudne samolubstwo, przekładające zawsze interes prywatny nad dobro ogółu.“ Walka tych dwu żywiołów t. j. samolubstwa z dobrem ogółu stanowi istotną treść przebiegu sprawy rolnej w Rzymie. Zapisali się w niej jasnymi barwami imiona mężów przeznaczeni i kraj miłujących, jak Spuryusza Kasyusza Licyniusza Stollona, Tyberyusza, Kaja Semproniusza Grakchów, ale obok nich spotykamy niezliczone wzory grubego egoizmu, który nie wahał się uciekać do najniższej broni, do oszczerstwa i podburzania ciemnego ludu przeciwko tym, którzy dla jego wyłącznie panowali dobra.

Na pierwszych kartach swej pracy przedstawia prof. Dydyński obraz stosunków rolnych i własności gruntowej aż do wybuchu walk agrarnych t. j. za czasów królów. Wiadomo, że źródła do owej epoki dziejów rzymskich są bardzo niewystarczające, a co najważniejsza, niepewne. Pisarzom rzymskim, którzy znacznie później żyli i pisali, nie można zaufać co do czasów pierwotnych wobec braku krytycyzmu oraz należytego pojęcia historycznego rozwoju, właściwości, bardzo naturalnej u autorów starożytnych. Dlatego też dla nowoczesnego badacza zdania ich mogą mieć zaledwie drugorzędne znaczenie; prawdy istotnej dobijać się on musi inną drogą, drogą mozolnego badania faktycznych zabytków, dochowanych w starych formułach prawnych, nazwach i t. p. Prof. Dydyński zbyt łatwo i szybko załatwił się z tą sprawą, tak, że przedstawiony przezeń obraz pierwotnych stosunków gruntowych w Rzymie nie jest dość przekonujący pomimo, że popiera go autor cytatai znanych naukowych powag. Nie wyjaśniona w nim została dokładnie, najważniejsza zdaniami naszym kwestya, t. j. powstania i istnienia w owych czasach prywatnej własności gruntowej oraz stosunku jej do publicznej. Podanie o wydzieleniu przez Romulusa dwu łanów (bi-na jugera) każdemu ojcu rodziny, zbyt jest fantastyczne, a nawet z wielu względów nieprawdopodobne, żeby je bez obszerniejszego, krytycznego rozbioru można było uznać za punkt wyjścia dla własności prywatnej. Przedewszystkiem bowiem samo określenie czasu, rzecz w tym razie pierwszej wagi, nie istnieje tu wcale. Przypuścmy, że takie wydzielenie miało kiedyś miejsce, lecz kiedy i w jakim stadium rozwoju społeczności rzymskiej? czy poprzedziła je inna forma posiadania ziemi? Powołanie bajecznego Romulusa jako twórcy podziału, ani na jedną jotę tej kwestyi nie wyjaśnia. Podobnie nie przyczynia się do jej oświeślenia obyczaj limitacji t. j. rozgraniczania gruntów, bo niewiadomo z jakiej tenże datuje ich epoki. Dalsze wzmianki autora o (ager publicus), który pochodził z podboju i dzielony nie był, o wydzielaniu osobnych obszarów szczepom (tribus), kuryom a wreszcie rodom (gentes) do reszty zaciemnia kwestyę i pozbawia wszelkiego cienia prawnego jej przedstawienia. Rzecz bowiem naturalna, że jeżeli osobne udziały miał szczep, osobne znów kurye (stanowiące poddziały szczepu) dalej rody i wreszcie ojcowie rodzin, to stosunek prawny tych jednostek do gruntu musiał być koniecznie różnorodny.

Prawne zabytki starożytnego Rzymu przedstawiają nader ważne dane, przemawiające za tem, że rzymianie nie znali pierwotnie własności prywatnej. Prof. Dydyński na fakta te żadnej nie zwrócił uwagi i tylko w przypisku wspominał mimochodem o zdaniu w tym względzie Puchty. Zdaniem mojem rzecz ta wymagała bliższego rozbioru, bo jakkolwiek szanowny autor zastrzega, że nie może w niewielkiej rozprawce wdawać się w szczegóły, to jednak jest to kwestya fundamentalna od której rozwiązania dokładne zrozumienie dalszego przebiegu sprawy rolnej w Rzymie zależy.

Po przedstawieniu stosunków rolnych za królów, wspomina prof. Dydyński o zmianach zaszłych w tej sferze w pierwszych czasach republiki. Niejasność postawienia kwestyi w epoce królów musiała odbić się na obrazie jej zmian w czasach późniejszych. Wprowadza autor na scenę plebejusów i kreśli ich stosunek do patrycyuszów, zapomina o reformie Serwiusza, o powstawaniu roli publicznej (ager publicus) i sposobach przechodzenia jej w ręce prywatne, ale nie dowiadujemy się nic, jakie były prawa do ziemi plebejusów oraz udział ich w ager publicus. A jest to rzecz pierwszej wagi, wielu bowiem uczonych uważa wytworzenie się klasy plebejusów za początek własności prywatnej w Rzymie. Wspomina wprawdzie prof. Dydyński o ograniczeniu z nastaniem rządów arystokratycznych praw plebejusów do roli publicznej (str. 10), ale pomija milczeniem jakie im prawa służyły poprzednio. Że zaś prawny stosunek plebejusów do ziemi nie mógł być ten sam co patrycyuszów, o tem wnosić możemy choćby stąd, że pierwotne prawo kwiryckie dotyczyło tylko patrycyuszów, że plebejusze innemi zupełnie kierowali się normami.

Na stronie 11 zaczyna autor kreślić dzieje walki patrycyuszów i plebejusów począwszy od wyjścia na górę świętą, walki, z którą zespolił się ściśle przebieg sprawy rolnej w Rzymie. Tu już spotykamy jasny i systematyczny tok opowiadania kolejnych przemian i dążeń do uregulowania stosunków agrarnych. Pierwsze miejsce poświęca autor szlachetnym usiłowaniom Spuryusza Kasyusza, (r. 268 od założenia miasta) pierwszego męczennika sprawy rolnej i ofiary niecných intryg arystokratycznej partii. Projekt Kasyusza dotyczący rozdziału ziemi między ubogich, aczkolwiek zatwierdzony, w życie nie wszedł, pomimo kilkukrotnych usiłowań późniejszych. Dopiero zdobycie Wejów (r. 358) pozwoliło plebejuszom skorzystać cokolwiek z nowo opanowanej ziemi. Na dobre jednak podnieśli powtórnie sprawę użytkowania z roli publicznej, Licyniusz Stollo i L. Seksejusz Lateranus. Sławne prawo licynijskie (lex licinia r. 387) ograniczyło do 500 łanów obszar roli publicznej, którą jeden obywatel mógł posiadać, ułatwiło zatem nabywanie jej dla znacznej ilości jednostek. W jaki sposób prawo to wprowadzono w wykonanie, jak długo moc swą zachowało, niewiadomo. Faktem jest jednak, że w czasie długich wojen zaborczych poszło ono w zapomnienie i już przed ukończeniem wojen punickich powstają latifundya t. j. obszerne własności ziemskie uprawiane przez niewolników i w znacznej części przeznaczane na pastwiska.

Znów więc po upływie dwu wieków kwestya agrarna występuje na widownię. Po nieudanych próbach C. Flaminiusza (r. 522), żąda Tyberyusz Grakchus wznowienia praw Licynijskich (r. 620). Lecz czasy nie nadawały się już do demokratycznych reform. Tyberyusz zginął z ręki podburzonego ludu, a prawa pod jego wpływem wydane nie wiele przyniosły owoców, pomimo dzielnego poparcia przez jego brata Kajusa Grakcha. Po śmierci Grakchów sprawa podziału gruntu nie upada zupełnie lecz wchodzi w nową, słabszą znacznie fazę; idzie tu już bowiem tylko o rozdział nowo zdobytych ziem między weteranów, co szczególnie wprowadził w życie Juliusz Cezar. Tak więc z upadkiem republiki upadła sprawa reformy własności gruntowej, a z nią upadł i dobrobyt Italii. „Jeszcze i do dziś dnia — kończy swą rozprawę prof. Dydyński — kraj ten nie odpokutował za grzechy republiki. Jeśli wędrowca, skoro tylko opuści stolicę nowożytnego królestwa włoskiego otacza w koło uroczysta cisza i pustynia rzymskiej Kampanii, w której tylko ubodzy pasterze i dzierżawcy nędzni pędzą ży-



wot, — to przyczyny tego uderzającego opustoszenia szukać należy po części w dawnych czasach starożytnego państwa rzymskiego.

Rozprawka prof. Dydyńskiego napisana dobrym i żywym językiem czyta się łatwo i zająć może każdego inteligentnego czytelnika. Zauważyć może tylko autor odbiega tu i owdzie od przedmiotu, wtrącając epizody walki patrycjuszów z plebejuszami, w dość odległym związku ze sprawą rolną będąc. Prócz tego sposób przedstawienia kwestyi nie może w zupełności zadowolnić prawnika. Rzecz wyłożona jest — że się tak wyrażę — za mało zewnętrźnie, bez wnikięcia w prawną, wewnętrzną naturę stosunku, co dopiero mogłoby samą kwestyę w należytem stawić świetle. Są to raczej dzieje walki klas społecznych o posiadanie ziemi, a nie rozprawa o prawie rolnem w Rzymie. Bądź co bądź, życzyć by należało, żeby prof. Dydyński nie poprzestał na tej pracy i nadal literaturę naszą studjami nad prawem rzymskiem zasilął.

Karol Dunin.

## Literatura zagraniczna.

Wiliam Wallace. The epicureanism. London, 1880.

Nauka epikurejska, tak tendencyjnie potępiana i lekceważona przez dawniejszą krytykę filozoficzną, obecnie doczekała się krytycznych opracowań, w których świetle odzyskuje uznanie bezstronnych i trzeźwych umysłów. Do badań i monografij specjalnych w tym przedmiocie przybyła cenna książka Wallace'a, której głównem zadaniem jest rozwinięcie szerokie pod wszelkimi względami systemu epikurejskiego, charakterystyka jego tak przedmiotowa, że wobec niej osobiste poglądy autora i cała część krytyczna schodzą na drugi plan tej cennej pracy.

W pierwszych czterech rozdziałach książki autor kreśli nam szczegółową historję warunków dziejowych, w których powstał i rozwinął się system epikurejski, opowiada życie jego twórcy na tle epoki, opisuje bractwo (brotherhood) epikurejskie, następnie podaje charakterystykę źródeł, które uczonemu pozwalają odbudować całokształt nauki. W następnych sześciu rozdziałach p. Wallace wyklada szczegółowo całość systemu, wyłuszcza przedewszystkiem plan zasadniczy i główne podziały, poczem zajmuje się teorią świata fizycznego, najwyższego dobra, atomistyką, kosmologią i teologią, potem logiką, czyli *kanoniką* i psychologią; w ostatnim zaś rozdziale kreśli obraz historyczny rozwoju systematów w starożytności i nowych czasach.

Na wstępie odróżnia autor bardzo wyraźnie epikureizm od poprzednich i współczesnych kierunków filozoficznych, zaznacza, że z wrogiem sobie systematem stoickim ma on ten rys wspólny, że zapomina o człowieku społecznym a całą uwagę zwraca na człowieka indywidualnego, różniąc się w tej mierze od Arystotelesa i Platona, którzy moralność łączyli ściśle z polityką w różnych stosunkach zawisłości wzajemnej. Oba te systematy pod tym względem są podobne do chrystyanizmu, że chociaż ich królestwo nie jest z tego świata, to jednak radzą prowadzić życie tak, aby nie dać się unieść prądowi wypadków i zamętowi interesów, zwracają się do ogółu ludzi i dlatego są popularne, dlatego ich moralność dla świata pogańskiego stanowiła rodzaj religii. Moralny indywidualizm, zależność całej nauki od moralności, są to podług p. Wallace'a charakterystyki wspólne platonizmu i perypatetyzmu. Tymczasem epikurejczycy nie tylko pogardzają sprawami do-

czesnymi ale jeszcze więcej wszelką *czynnością*. Mędrzec epikurejski ma tylko jedno na celu: żyć szczęśliwie i spokojnie, używając mądrości w obojętnym kwietyzmie, postawić się wyżej nadzrządzenie wypadku, być panem samego siebie, gdy tymczasem mędrzec stoicki godzi się z przeznaczeniem i poddaje się bóstwu. Wbrew pojednawczemu duchowi stoików, którzy chcieli zawrzeć kompromis z mitologią ludową, nie uznają epikurejczycy żadnych przesądów, żadnego mieszania się opatrności w sprawy człowiecze, nakoniec opierając swoją moralność na samej tylko naturze naszej, pojmują ją po swojemu: natura ta nie jest jak u stoików tylko instynktem zachowawczym, osobistym wysiłkiem dla utrzymania własnej istności, ale raczej posiadaniem wszystkich zdolności — jest zdolnością do używania wszystkich korzyści i przywilejów człowieka.

Biografia Epikura i opisanie jego instytutu należą do najciekawszych rozdziałów książki. Autor obdarzony jest nadto bystrym umysłem, aby mógł brutalnie potępić tak sympatyczną szkołę, tłumacząc w dodatkiem znaczeniu wiele potępianych powszechnie maksym. W sposób ponętny opisuje ogród Epikura, gdzie w rozkoszy można było znaleźć najwyższe dobro, polegające na skromnem i przyjemnem użyciu; charakteryzuje dalej autor udział i stanowisko kobiet w tej akademii, które ściągnęło na epikurejczyków wiele potwarzy, opisuje praktykę przyjaźni, którą uważano za najwyższe uczucie. Następnie skreśliwszy obraz religijnej czci, jaką mieli dla Epikura jego uczniowie i zwolennicy, zajmuje się krytyką głównych dokumentów epikureizmu rozbiorem odnośnych wiadomości z Lukrecjusza, Dyogenesa Laercjusza, Cyserona, Seneki, Plutarcha, Stobeyosa i Atenajasa, przeprowadza literacką krytykę pism filozofa.

Przechodząc do wykładu samej doktryny, autor zaznacza przedewszystkiem główne rysy systematu: jestto nauka popularna, obca wysokim spekulacyom, obojętna dla wyrafinowanej uprawy umysłu. Nieobecuje ona dać nauki, ale swobodę i szczęście. Życie ludzkie pełnem było fałszywych i czecznych bojaźni; zadróść i złość bogów ciążyła nad rodem człowieczym; kary Tartaru straszyły go poza grobem a od tych męczących widziadeł epikureizm chce na zawsze oswobodzić człowieka. Celem jego jest użycie, dlatego potępia próżne zaciekania się uczonych i strome subtelności filozofów; dla dobrze zorganizowanej głowy, najlepszą poduszką podług niego jest co najmniej — spokój i obojętność. Ani ciało, ani dusza, nie powinny używać wyłącznej przewagi, jedno i drugie razem mają być kierowane dla użycia szczęścia, które jest jedynym celem filozofa.

Jeżeli filozofia ma być nauką budowania szczęśliwego życia, niech o tyle przywiązuje się do nauki o naturze tej: fizyki i do logiki, o ile te nauki dają środki dla osiągnięcia szczęścia. Zadaniem fizyki jest wyłączenie bogów i zniesienie piekła. Teoria świata jest czysto mechaniczną a dla jej zbudowania Epikur ucieka się do pojęcia atomów i samorodności (spontaniczności). Pojęcie atomu ma początek w zmysłach, pojęcie samorodności (klinamen), ma źródło w świadomości. Co do przyczyn ruchu, Epikur nie troszczy się o nie, uważając go za rzecz naturalną i pierwotną. Ruch jest znakiem widocznym owego, niewidocznego *klinamenu*, tej tajemnej własności wszechrzeczy, która do ruchu tak się ma, jak nasze pojęcia i pragnienia do naszych czynów.

Dusza ludzka oprócz atomów powietrza, ognia i technienia zawiera jeszcze pierwiastek *nienazwany*, który ma pewne podobieństwo z zasadą *bezwiedną* Hartmana. Ponieważ, wszystko się wyjaśnia za pomocą atomów i samorodności, więc piekło i bogowie są tylko wytworami ludzkiej nie-

wiadomości i czecznych obłądów myśli. Wallace wskazuje na wspólność, jaką mają pojęcia epikurejczyków o historii naturalnej cywilizacji z darwinizmem; początek życia i mowy, są teoriemi, które Lukrecyusz doskonale traktuje. Epikureizm zponurym a namiętnym entuzjazmem niewęzy nadzieje nieśmiertelności, podług niego najwyższe dobro ziszcza się na ziemi: mędrzec jest śmiertelnym bogiem. Porównując następnie *obojętność* (indolentia) epikurejską z *eudaimonizmem* perypatetyków, autor powiada, że najwyższe dobro epikurejczyków jest niższem od takiego pojęcia u Arystotelesa.

To ostatnie jest doskonałością, którą się czuje i kosztuje pod nazwą szczęścia, ponieważ szczęście jest dopełnieniem, czyli uzupełnieniem doskonałości, jak rozkosz jest dopełnieniem czynności, gdy *indolentia*, obojętność jest najniższym stopniem tej doskonałości, jej warunkiem najbardziej elementarnym, to jest nieobecnością wzburzenia, spokojem duszy, zdrowiem i siłą fizyczną. Aby sprowadzić do minimum niedorzeczność pojęcia tyłu ruchów atomistycznych bez przyczyny, epikureizm wynalazł *klinamen*, aby sprowadzić do minimum niedorzeczność moralności, opartej na rozkoszy a nakazującej surowość obyczajów wynalazł — pojęcie bezwładności (indolentia).

Oceniając harmonię moralnego systemu epikurejczyków, p. Wallace stawia go jako koncepcję filozoficzną po nad utylitaryzmem. Wogóle powiada, epikureizm jest wyższym aniżeli utylitaryzm, podaje nam teorię zupełną natury a nie hipotezę, która ma zdać sprawę z naszych pojęć moralnych. Jestto wysiłek, mający na celu przeprowadzenie człowieka przez zawilości życia, jestto zarówno religia jak i teoria naukowa.

Oceniając teorię atomistyczną Epikura autor porównywał ją z atomizmem nowożytnym. Atomizm dawniejszy jest tylko hipotezą, nieopartą na faktach naukowych, obecny atomizm przedstawia się jako prawidłowa indukcja i opiera się na obszernej całości faktów, naukowo stwierdzonych. Epikurejczykom brakowało pojęcia siły we właściwym znaczeniu, siły niewidzialnej, wewnętrznego faktu pierwotnego, niedającego się zredukować do innych, do którego trzeba się zawsze uciekać, aby zdać sobie sprawę z tego co widzimy, z tego co się ujawnia w warunkach zewnętrznych istnienia, co wypływa z głębokiego metafizycznego źródła. Epikur nieuznawał pojęć metafizycznych. Ponieważ niema innej rzeczywistości tylko atomy, przestrzeń jest tylko warunkiem widzenia, co zaś do czasu jest on tylko faktem uogólnionej świadomości, biegnie on prędko lub wolno stosownie do tego, czy nasze pojęcia i wrażenia są mniej lub więcej nagłe. P. Wallace czyni uwagę, że gdyby Epikur pogłębił tę teorię, byłby poprzednikiem Kanta, ale jak się zdaje przeczuwał ją dość niejasno.

Znaną jest epikurejska teoria bogów i świata. Prawem zasadniczem świata jest nieobecność prawa, t. j. przypadek; przedmiotem głównym bogów jest apatia i obojętność. Istnieją oni, bo mamy w tej mierze *przeczuć* i *prekoncepty*, ale nierozsądny jest ten, który ich o co prosi, gdyż ci wieczni młodzieńcy istnieją w międzyświatach, nie troszcząc się o sprawy człowiecze. Teologia i kosmologia epikurejczyków jest opartą całkowicie na imaginacji i jest czysto antropomorficzną. Ponieważ cała istność jest cielesną, ponieważ wszystkie *prekoncepty* nie są ideami wrodzonymi ale rezultatami wywleczenia zmysłów, „produktami obserwacji”, a więc cała metafizyka epikurejska jest dziełem imaginacji a nie rozumu czystego lub praktycznego. Streszczając swój pogląd na całość logiki i psychologii epikurejskiej, p. Wallace powiada: „Podobnie jak niektóre systemata



nowożytnie pod godłem *myśle*, albo *chcę* gromadzą wszystkie nasze percepcje, epikurejczyści mniemali, że mają prawo pominąć nasze *ja*. Jeżeli dobrze zrozumiałem Epikura, nie uwzględniał on poprostu tego *ja i świadomości*, zwracając tylko uwagę na rzeczywistość zewnętrzną. Zajął on stanowisko nauki, a nie stanowisko filozofii. Na pytanie *czem jesteśmy* odpowiada, że jesteśmy tem, co widzimy i co byśmy mogli widzieć, gdyby nasz wzrok był bardziej przenikliwy. Każdy z nas jest *przedmiotem* widzenia wrażliwego i rozumnego; że *ja* jestem także *podmiotem*, o tem nie wiem."

W ostatnim rozdziale autor kresli dzieje epikureizmu, streszczając swe sądy o nim w sposób następujący: "Treścią nauki epikurejskiej była jedność i harmonia natury ludzkiej; celem jej było zlać one wecałość samą w sobie, niezależną od wpływów zewnętrznych. Jej optyzmizm uśmiecnił i przyjął jako główne czynniki moralnego postępu; odrzucając ascetyzm, który stworzył doktrynę z cierpienia, głosił on pierwiastki prawdy, o jakich świat nie powinien już zapominać." Całość tego gruntośnie i wytwornie napisanego dzieła, pomimo surowości niektórych sądów o szczegółach nauki epikurejskiej, ocenia jej system bezstronnie i przychylnie, należąc do liczby prawdziwie niepodległych badań z dziedziny historii filozofii.

A. B.

## KORESPONDENCYA TALLEYRANDA<sup>1)</sup>.

### I.

Ostatnimi czasy posypał się istny grad publikacji, uchylających zasłonę tajemnicy, mających według intencji głównych autorów i aktorów, zakrywać przed oczyma zbyt ciekawych śmiertelników szczegóły, kłopoty i roboty wewnętrznego warsztatu kongresu wiedeńskiego. Pominawszy większych rozmiarów historyczne prace, jak ośmnasty tom *Historii Konsulatu i Cesarstwa* Thiersa, jak Gervinusa *Dzieje XIX wieku*, poczynawszy od traktatów wiedeńskich, jak Onckena *Prussy i Austrię*, nie wyliczając wielu innych, których autorom było dano korzystać z zasobów i źródeł archiwalnych różnych państw europejskich, zaczęli się — najczęściej z po za grobu — odzywać samiz uczeni, nauce świadkowie, niekiedy główni bohaterowie wielkiego aktu dyplomacji europejskiej. Wielce ciekawą była pod tym względem publikowana z dziwną obrazą wszelkiej dyskrety przez panią Ludmiłę Assing korespondencya sławnego pisarza Varnhagena von Ense z rozmaitemi współczesnymi znakomościami. Niemniej ważnym do rozświecenia epoki kongresowej materiałem stała się ogłoszona przez wiedeńskiego archiwistę P. Klinckowströma korespondencya słynnego sekretarza kongresu, Fryderyka Gentza. Wienczyć zdawała się ową rewelacyjną historyografią kongresu wiedeńskiego, liczącą obecnie cztery tomy publikacya tak zwanych *Pamiętników księcia Metternicha*. Jakoby ku uzupełnieniu przy-

chodzi im w pomoc wydana przez niejakię P. Pallain korespondencya między księciem Talleyrandem a królem Ludwikiem XVIII podczas kongresu wiedeńskiego — dzieło, będące przedmiotem niniejszego naszego sprawozdania.

Wobec wychodzących równocześnie niemal *Pamiętników Metternicha* nasuwa się mimowolnie myśl paraleli między tymiż pamiętnikami a korespondencyą Talleyranda, jak się nasuwa nie mniej naturalnie między osobami obu spotykających się na jednej i tejże samej widowni mężów stanu europejskich. Zaczynając ową paralelę od obu publikacji, powiedzmy z góry, że francuzka góruje pod względem ciekawości i obfitości historyczno-politycznego materiału, niesłychanie nad austriacką. Przedewszystkiem zaś mamy tu na myśli epokę kongresu wiedeńskiego właśnie. Polityczna historia trzech lat, poprzedzających kampanią Napoleona przeciw Rosyji 1812 r.; wypadki dalej przygotowujące zerwanie przymierza francuzko-austriackiego i przystąpienie dworu wiedeńskiego do koalicji przeciw Francji w r. 1813; wreszcie akcja dyplomacji koalicyjnej aż do wzięcia Paryża w 1814, znajdują jeszcze w *Pamiętnikach Metternicha* dość obszernie miejsce i zawierają dla chcącego się obeznać z dziejami owej epoki objaśniający materiał. Natomiast kończy się ciekawość Metternichowych pamiętników właśnie z chwilą rozpoczynającego się kongresu wiedeńskiego, właśnie wtedy, kiedy zapowiadać się zdawały czytelnikowi najżywszy interes. Epoka kongresu wiedeńskiego ogranicza się w *Pamiętnikach Metternicha* jedynie niemal tylko na dostarczeniu dowodu nieszlachetności kanclerza austriackiego w obchodzeniu się z osobą Napoleona. Metternich, którego dziełem było małżeństwo Maryi Ludwiki z Napoleonem; Metternich, który nienawidząc Napoleona, jako uzurpatora i wyraz rewolucji, schlebiał mu przeciw niedwuznacznie w epoce jego potęgi — staje się, po jej złamaniu, w epoce kongresu wiedeńskiego, upartym i natrętnym przeciw Aleksandrowi I i Fryderykowi Wilhelmowi III rzeczniikiem środków surowości względem osoby Napoleona. Nie może strawić jego pobytu i jego monarszej władzy na wyspie Elbie, a po bitwie pod Waterloo pociesza Maryę Ludwikę, że „Napoleon” będzie z uwzględnieniem bezpieczeństwa europejskiego stosownie pomieszczonej.

Otoż prawie wszystko co *Pamiętniki Metternicha* z epoki kongresu wiedeńskiego zawierają. Materiał, jak widzimy nieszczerze bogaty, a czy szczególnie dla bohatera publikacji zaszczytny, niechaj rozstrzyga, komu wola. Niema wątpliwości i wydawcy metternichowych pamiętników albo nie znaleźli w pozostałych po kancelarii austriackim papierach z epoki kongresu wiedeńskiego nic uwagi godnego, co nam się nie zdaje prawdopodobnem; albo też spotkali się z dokumentami — co prawdopodobniejsza — których publikacya nie była według nich na czasie lub kompromitująca dla pamięci jego. Historyk i badacz epoki kongresowej wyniesie tedy bardzo szczupłe żniwo z czterotomowej publikacji księcia Ryszarda Metternicha.

Inaczej wręcz ma się rzecz z *Korespondencyą* między Talleyrandem a Ludwikiem XVIII. Korespondencya ta rozpoczynająca się z dniem 25 Września 1814, kończąca się z d. 27 Maja 1815 r., zastępuje ponieważ, do dziejów tej epoki właśnie, pamiętniki, które Talleyrand pozostawił, które umierając w roku 1838 pozwolił ogłosić dopiero w trzydziści lat po swej śmierci, a które z niezrozumiałych nam przyczyn dotąd nie ujrzały światła dziennego.

Wspomniona co dopiero *Korespondencya* wprowadza czytelnika w najrzeczywistszy i najgorętszy wir czynności, intryg i namietności kongresowych, nie schodzi z drogi żadnej, choćby najdrażliwszej kwe-

sty, charakteryzuje ze szczególną otwartością wybitniejsze osobistości kongresowe. Być może, iż dzięki podobnej otwartości osoby cesarza Aleksandra, Metternicha, cesarza Franciszka, reprezentantów pruskich Hardenberga i Humboldta nie wychodzą w świetle tak niepodzielnie dodatniem, w jakim pewna część historyografii podjęła je przedstawiać; zyskuje natomiast, jak jesteśmy przekonani, historyczna prawda. Słowem, przedstawia dwutomowa korespondencya Talleyranda wysoki interes, obejmuje nader obfity materiał historyczno-polityczny, z którego, mimo wszelkiego dotychczasowego bogactwa historyografii kongresowej czerpać, z którym się troskliwie liczyć będzie zmuszony każdy badacz i historyk genezy stosunków europejskich w roku 1814 i 1815.

Zauważyliśmy wyżej, że paralela owa między jedną a drugą publikacją pociąga za sobą dość naturalnie paralelę między obu mężami stanu, odgrywającymi pierwszorzędą rolę w dziele regulowania olbrzymiego spadku po rewolucji francuskiej i Napoleonie. *Talleyrand i Metternich*, dwa imiona zapisane równie wysoko w dziejowej hierarchii dyplomacji europejskiej, dwa imiona, otoczone w równym niemal stopniu przesadną opinią ogromu wyższości umysłowej, połączonej z przebiegłością, dwa imiona, którym podobno opinia nie zdołała oszczędzić innej jeszcze, mniej zaszczytnej opinii *charakteru*, zmieniającego się według okoliczności, nieprzebiegającego w środkach. I ta paralela wypadnie na korzyść francuza, jakkolwiek szczęście i powodzenie towarzyszyło dłużej austriakowi i zdawało go się, wobec bezwzględnych wielbicieli sukcesu zwłaszcza, darzyć warunkami wyższości.

Tak francuz, jak austriak, by zacząć od *podobieństw*, mają wiele dobrych i złych stron *wspólnych*. Obaj obdarzeni bystrym i pojętym umysłem; obaj odebrali troskliwe wychowanie i wykształcenie, którego owoce widać w późniejszym życiu, w zawodzie ich polityczno-dyplomatycznym. Jeżeli Metternich jest nie mniej według definicji dawniejszego mistrza swego Kaunitza, jak samegoż Talleyranda, *ein perfecter Kavalier*, kawalerem, za młodszych lat, umiejącym się podobać w towarzystwie i mieć szczęście u kobiet; jeśli odznacza się obfitym zasobem wiadomości klasycznych, estetycznych; jeśli umie się znaleźć w roli znakomitego turysty i opisywać swe wrażenia stylem, którego by mu pozazdrościć mogli pierwszorzędni felietoniści pierwszorzędnych dzienników europejskich — nie znajduje z pewnością w Talleyrandzie niegodnego siebie współzawodnika. Dawny biskup Autuński karmił się również za młodych lat mlekiem klasycyzmu. Że się umiał bawić i że umiał być żywszym elementem towarzystw, niechaj będzie dowodem, że go wiek XIX po roku 1815 nudził i że z westchnieniem przypominał sobie i otoczeniu swemu wiek ubiegły, w którym ludzie posiadali sztukę korzystania z przyjemności życia. Że Talleyrand był nie gorzej, jeżeli nie lepiej od Metternicha, człowiekiem nauki, że był nie gorszym, jeżeli nie lepszym odeń pisarzem, niechaj będzie dowodem rozprawa jego w akademii francuskiej, wygłoszona na kilka miesięcy przed śmiercią ku uczczeniu uczonego Reinbarda. Obu jest wspólna namietna nienawiść do rewolucji francuskiej i Napoleona, ale z różnych przyczyn. Metternich pogniwany śmiertelnie z pierwszą i z drugim, jako doktryner konserwatyzmu i legitymizmu. Talleyrand nienawidzi jako człowiek konstytuanta z r. 1789, jako wyznawca politycznych i filozoficznych pojęć XVIII wieku, w *rewolucyjny* nieład i zamęt, w *Napoleonie* despotyzm, a może i potroszę zawadę własnych, ambitnych dążeń. Obaj, tak Metternich, jak Talleyrand — a pod tym względem są sobie najpodobniejsi — powodują się najpoziomszą nieszlachetnością

<sup>1)</sup> *Correspondence inédite du Prince de Talleyrand et du Roi Louis XVIII pendant le congrès de Vienne, publiée sur les manuscrits conservés au dépôt des affaires étrangères avec préface, éclaircissements et notes par M. G. Pallain. Paris, E. Plon et Comp., Imprimeurs — éditeurs, Paris 1881.*



wobec osoby Napoleona. Tak jeden, jak i drugi, będąc najuniżeńszymi sługami, najskrzętniejszymi wykonawcami woli i wszelkich zachceń Napoleona w czasie jego potęgi i powodzeń — wychodzą na jego najnikczemniejszych potwarców i przesładowców od chwili upadku. Tutaj nie mają sobie obaj nie do pozazdrośczenia. Tak jeden, jak drugi gorszy się i alarmuje pobytem upadłego Cesarza w pobliżu lądów Francji i Włoch; okruszynami monarszej władzy, jaka mu się przez posiadanie Elby dostała. Jeśli Metternich daje mu jeszcze łaskawie miano *Napoleona*, nazywa go Talleyrand w swej korespondencji z Ludwikiem XVIII konsekwentnie *Bonapartem*. Jeśli Metternich chce go mieć wyprawionym z wyspy Elby gdziekolwiek bądź, byle daleko, przeznacza mu Talleyrand Azory. Dość jest między obumężami stanu istny wyseig w przesładowaniu Napoleona którego groźne i niebezpieczne intencje dla nowego porządku europejskiego z zadziwiającem przeczuwają jasnovidzeniem.

*Wspólne* te obu mężów strony nie wylączają przecież bardzo esencyonalnych różnic, które w praktycznych rezultatach obracają się wszystkie na korzyść wyższości Talleyranda. Metternich jest na prawdę politycznie człowiekiem zasady, doktrynerem konserwatyzmu, niewolnikiem różnych swych niechęci i sympatyj, które mu kazały zapominać o interesie Austrii, a które z niej robią narzędzie, pokutującej w głosie czy nerwach jej kanclerza, bądź to doktryny, bądź namiętności. *Oslabić* Napoleona po kampanii r. 1812 było wyraźnym interesem Austrii, *obalić* go jako uzurpatora i reprezentanta rewolucji było nieprzebaczonej stronie męża stanu austriackiego błędem, bo taki rezultat szedł tylko na korzyść obu niebezpiecznych sąsiadów Austrii. Podczas kongresu wiedeńskiego, w długie lata po nim, robi Metternich w imię swej doktryny z Austrii po prostu policyę zachowawczą europejskiej, nie umie korzystać z okoliczności, nie rozumie, nie umie korzystać z wypadków, podkopuje stanowisko zostającego pod swoim kierownictwem państwa w Niemczech, Włoszech, na Półwyspie Bałkańskim.

Inaczej Talleyrand.

Talleyrand jest także nibyto w epoce kongresu wiedeńskiego doktrynerem, wynawca zasady miarkowanego formu konstytucyjno-parlamentarną konserwatyzmu i legitymizmu, ale jest nim widocznie z tej prostej przyczyny, że trzymanie się podobnej, w modzie naówczas będącej poręczy odpowiada interesowi francuzkiemu. Metternich rozporządzając ogromnymi środkami i zajmując stanowisko arbitra losów europejskich w Czerwcu r. 1813, skarży się już nazajutrz, niemal po bitwie lipskiej na zdetronizowanie Austrii z jej dotychczasowej wysokości, na bezwzględne gospodarowanie Steinów, Arndtów i Jahnów w Niemczech, na panowanie wpływu prusko-rossyjskiego, któremu sam swą polityką do zwycięstwa dopomógł, a którego mu już teraz, ku szkodzie interesu austriackiego, okiełznać nie podobna. Inaczej Talleyrand. Talleyrandowi przychodzi na kongresie wiedeńskim reprezentować skolataną dwudziestokilkoletnimi wojnami, wyludnioną, wyczerpaną finansowo, wychodzącą ze straszliwych wstrząśnień, rozdartą na stronnictwa *Francji*. Dzięki zręczności i śmiałości swej akcji dyplomatycznej, zdobywa jej przecież od razu głos i stanowisko, od którego ją inne mocarstwa odsadzić chciały, jedna jej szacunek, zyskuje sprzymierzeńców w dawnych wrogach.

Bez wątpienia, jako charakter, jako okaz moralności pozostanie Talleyrand wstrętym pojawem. Jego zmienność, jego cynizm, jego dziwna umiejętność, stosowanie się do wszystkich, choćby najprzeciwiejszych sobie rządów i prądów swego kraju, piętnują go po wszystkie czasy jako typ

przewrotności i niemoralności politycznej. Niesprawiedliwość jednakże byłoby chcieć zarzuteć podobnym obejmować podawane także ostatnimi czasy przez różnych francuskich i niefrancuskich pisarzy u wątpliwą *uzdolnienie* polityczne, co więcej, nie chcieć uznawać znakomitych usług, jakie w czasie kongresu wiedeńskiego krajowi swemu oddał. Co stanowiło przecież, by dokończyć naszą paralelę, szczęście Metternicha, było nieszczęściem Talleyranda. Metternich był kierownikiem nawy państwa regularnego, skostniałego, niewzruszonego od wieków organizmu, którego nieporuszalny spokój rządził mu za trwałość jego stanowiska i jego działalności. Inaczej, raz jeszcze, Talleyrand. Talleyrand znalazł się reprezentantem państwa, stojącego na wulkanie. Dokonywał właśnie wielkiego dzieła, kiedy wybuch spowodowany powrotem Napoleona z wyspy Elby, wysadził w powietrze dzieło restauracji, dynastję, cały organizm, na którym robota jego spoczywała, pokrył Francję ruinami, zamienił go z reprezentanta wielkiego państwa na emigranta, zbudowany już przezeń niemal nowy system aliansów europejskich na fantazyjną mrzonkę.

Po rozpatrzeniu się podobnem w ogólnym charakterze, w wartości historycznej i politycznej pamiętników i zapisków obu głównych bohaterów kongresu wiedeńskiego, po wyprowadzeniu ich nieuniknionej paraleli — przystąpmy do sprawozdania z treści, zatrudniającej nas obecnie publicyści.

J. N.

## W PERSPEKTYWIE.

Do kwestyi szkolnej ciekawo przybywa nam przyczynek. Oto, co pisze do nas korespondent z Siedlec:

„Z początkiem nowego roku szkolnego ciche zazwyczaj nasze miasto ożywione jest obecnością wielu okolicznych mieszkańców, którzy przybyli tutaj w zamiarze umieszczenia swoich dzieci w miejscowych szkołach. Podczas wstępnych egzaminów największy ruch panował w gmachu gimnazjalnym, dokąd z rozmaitych stron spieszyli o dobro swoich dzieci dbali rodzice. Aby osiągnąć zamierzony cel, uciekano się do protekcji rozmaitych osób, próśb i do innych, tym podobnych środków. Pomimo to większa część starań spełzała na niczem. Widać to nawet z straskanych fizyognomij ojców, matek, opiekunów i dzieci. Trudno rzeczywiście było zadowolnić żądania wszystkich, ponieważ na stu blisko kandydatów zaledwie miejsce kilkanaście do klasy pierwszej wakuowało. Przed pięcioma lub sześcioma laty, ilość dzieci mających wstąpić do szkół nie wyrównywała 50 — 60. Liczba więc garnących się do światła w ostatnich kilku latach wzrosła. Fakt to pocieszający. Zwróciwszy jednak uwagę na brak środków, za pomocą których zadość uczynić możemy dobrym chęciom, doznajemy smutku i po tylu rozczarowaniach nie uwierzmy w prędkie zawitanie lepszych dla wychowania warunków. Jedynym pocieszającym faktem w minionym roku szkolnym była łatwo dostrzegalna dążność, aby ułatwić uczniowi przejście z klasy do klasy, albo otrzymanie tak zwanego świadectwa maturalitatis. Objaw ten jest znaczną ulgą, lecz niczem jest jeszcze wobec bardzo wielu innych przeszkód, spotykanych na drodze ku wykształceniu. Obecnie pierwszą i najważniejszą w tym względzie przeszkodą jest brak miejsca.

Przy takim składzie okoliczności do obecnego położenia rzeczy można zdaje się zastosować teorię Maltusa, już nie jako teo-

ryę, lecz jako pewnik zmodyfikowany tak: liczba chcących się uczyć wzrasta w stosunku geometrycznym, liczba zaś stosownych po temu miejsc, jeżeli się nie pomniejsza, to w najlepszym razie jest stałą. Chociaż, dzięki staraniom niektórych pp. nauczycieli szkół miejscowych, otwarte zostały dwa prywatne oddziały pierwszej i drugiej klasy, to jednak ze względu na wysokość opłaty wpisowej w kwocie rs. 50, które mają być uiszczane w ratach półrocznych z góry, oddziały te dla znacznej większości biednych mieszkańców Podlasia są niedostępne. Zmodyfikowana przeto teoria Maltusa bądź co bądź da się zastosować w obecnym położeniu naszego szkolnictwa. Brak miejsca powoduje inną jeszcze nader ważną niedogodność. Z powodu znacznego napływu kandydatów wstępne egzamina są bez porównania trudniejsze od tych, jakie powinny być w normalnym stanie rzeczy.

An. Dy.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 9 września.

Dodatkowe, uzupełniające wybory francuskie odbyły się w przeszłą niedzielę. Nie zmieniają one prawie zupełnie stosunku partji politycznych w przeszłym zgromadzeniu posłów. Wprawdzie *intransjgeanci* wyszli zwycięsko w paru okręgach Paryża, a nawet na prowincyi udało im się kilku przeprowadzić kandydatów; przecież pozostaną w stanowczej mniejszości, co dla przyszłego sejmu za pomyslną odpowiedź przedstawia się w ten sposób, że na 457 republikanów przypada 45 bonapartystów i 45 rojalistów. Charakterystyczną jest ta okoliczność, że stolica Francji po raz pierwszy reprezentowaną będzie w parlamencie przez samych republikańskich posłów.

Myliłby się atoli każdy, kto by przypuszczał, że przyszła sesja sejmowa pozbawiona będzie ożywienia, charakteryzującego obrady prawodawcze francuskie. Materiału do takowego ożywienia dostarczą aż nadto dosyć rozmaite odcienia republikańskiego stronnictwa. Pomimo to atoli chwila jest nader sposobna do przeprowadzenia reform socyalnych, byle Gambecie udało się utworzyć stałą większość parlamentarną. W ostatnim swem przemówieniu w Neubourg proponuje on też połączenie się republikańskich stronnictw z wyłączeniem radykalnych. W rzeczywistości, jeżeli Gambetta potrafi dokonać tego trudnego zadania, jeżeli około wyższych i dalej sięgających celów zgromadzi wszystkich, którzy dobro ojczyzny nad stronnictwo przekładają interes, w takim razie pole jego działalności będzie bardzo obszernem. Przeprowadzenie bowiem rozumnych reform socyalnych może radykalizm francuski pozbawić stałego gruntu i uchronić kraj od gwałtownych wstrząśnień, jakieby mu w przyszłości grozić mogły.

Wiadomości z Afryki brzmią wciąż niepomyślnie dla Francji. W ubiegłym tygodniu zwołano bardzo pośpiesznie radę ministralską, na której pod prezydencją Grevého dyskutowano kwestję Algieru i Tunisu. Podobno postanowiono zajęcie wojskiem główniejszych miast regencyi, a przede wszystkim wzmocnienie korpusu ekspedycyjnego w Afryce północnej. Zresztą wysiłki wojsk francuskich do Afryki trwają wciąż nieprzerwanie, jakkolwiek trudno jest dokonać tego bez mobilizacyi znacznej części armii. Tego znowu unika rząd republikański z obawy zaniepokojenia opinii i przyznania się niejako do niepowodzeń tunetańskiej wyprawy. W zwią-



ku z radą ministeryalną, stoi także, o ile się zdaje, ograniczenie władzy gubernatora Algieru, co dokonaniem zostało za pośrednictwem osobnego aktu organicznego. Projektowana podróż króla włoskiego do Wiednia i Berlina daje pole do obszernych kombinacji politycznych. O ile się zdaje pozbawioną jest ona donioślejszego znaczenia. Charakterystyczną jest tu jedynie oziębłość, z jaką w Berlinie przyjęto wiadomość o zamierzonej wizycie monarszej. Jest to naturalnem o tyle, że ks. Bismarck opierając swą przyszłą politykę na stronnictwie środka sejmowego, unikać musi wszelkich ostantacyjnych okazywań życzliwości królowi włoskiemu, by tym sposobem nie drażnić nawiązujących się stosunków z Watykanem. Tak więc pomimo, że książę Bismarck chętnieby widział związek mocarstw środkowej Europy, to przecież dla chwilowych celów poświęca on znane sympatyte włoskie, z któremi niedawno jeszcze w Berlinie na każdym spotykało się kroku.

O ile się zdaje, walka z kościołem dobiega pokojowego końca. Tak przynajmniej sądzićby należało z zadowolenia, z jakim nowy biskup trewirski opuścił gościnę kanclerską, oraz z zamierzonego obsadzenia pozostałych biskupstw. Podobno z kolei najpierw obsadzonem zostanie biskupstwo Fuldy i Kolonii, przyczem obecny koloński biskup Melchers powołanym by został do Rzymu na godność kardynała tak, jak to niegdyś z arcybiskupem Ledochowskim uczyniono.

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Sprawy społeczne.** Pierwszą warszawską kasę pożyczkową dla rzemieślników i robotników, zamieszkałych w cyrkulach I i II przy ul. Podwał, oddano już na użytek publiczny.

— Kasę warszawską dla emerytów już zatwierdzono; na prezesa jej obrano p. Rostworowskiego.

— Deputacya żydowska przybyła z Kijowa do Petersburga, przedstawiała się ministrowi spraw wewnętrznych, Ignatjewowi, w celu uproszenia środków zabezpieczenia przeciwko rozruchom żydowskim.

— Sąd wojenny charkowski rozpatrywał 26 z. m. nową sprawę polityczną.

— Projekt reformy pasportowej opracowano w całości w ministeryum spraw wewnętrznych.

— Komisya, obradująca nad sposobami powściągnięcia pijaństwa, rozpoczęła już swoje czynności.

— Do Lublina przybyli misyonarze anglikańscy.

**Nauki.** P. D. Hérisson, który podczas swej podróży naukowej do Tunisu zajął się wykopaliskami w ruinach Kartaginy, oprócz 80 nieznanych dotąd napisów, odnalazł mnóstwo przedmiotów wartości archeologicznej. Obecnie zajęty on jest urządzeniem wystawy tych przedmiotów w salach Lawru.

— Pani Kwarcow broniła w fakultecie medycznym w Paryżu rozprawy na stopień doktora medycyny.

— Muzeum w Raperswyllu w Szwajcaryi, według ostatniego sprawozdania posiada: wykopalisk z epoki przedhistorycznej 412, pamiątek historycznych powołanych meżach 348, numizmatów 2980, pieniędzy papierowych 800, medali 576, pieczęci 126, obrazów olejnych 67, akwareli 33, miniatur 12, rysunków i oryginalnych szkiców 37, rycin 4498, fotografii 421, medaliów, popiersi i posągów 82, kamei 271, minerałów 186, przedmiotów etnograficznych 83, narzędzi i przyrządów naukowych 17, matryce do herbów i medali, oraz różnych odcisków 244, nut 1100 arkuszy; biblioteka zawiera 32,864 tomów, map geograficznych 536, autografów 291, podobizn 212, rękopisów tomów 1194, różnych akt dawnych 17000 w 100 tomach i 200 arkuszy wypisów, dotyczących się historyografów tureckich.

**Szkoły.** W gimnazyach Królestwa Polskiego wykład języka polskiego pozostał w tym roku w ograniczonym zakresie dawnego programu, pomimo przeciwnych rozporządzeń władzy.

— Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie postanowiło urządzić wystawę przemysłu, zastosowanego do wychowania i nauczania.

**Przemysł i handel.** Bank handlowy w Łodzi otrzymał od ministeryum finansów pozwolenie na powiększenie kapitału zakładowego o 500,000 rs.

— Komisya, zajmująca się badaniem stosunków kolejowych, skończyła swe prace; wypracowała ona projekt ustawy kolejowej, który przedstawiono do zatwierdzenia w zwykłym porządku prawodawczym.

— Ustawę faktyczną przegląda ministeryum finansów.

— Ministeryum komunikacji rozpoczęło studia nad linią kolei żelaznej, mającą połączyć drogi warszawskoterespolską z warsz.-petersburską.

— Na kolei terespolskiej wykonano próbę wagonów, zbudowanych w warsztatach tejże kolei.

— *Gaz. Łódzka* donosi, że p. Tader, nauczyciel fizyki przy tamtejszej szkole przemysłowej, zbudował bardzo prosty telegraf pneumatyczny, który w niewielkich odległościach wybornie działa.

**Rolnictwo.** Redakcyja warszawskiego *Ogrodnika polskiego* otwarła księgę dla poszukujących posad ogrodników.

**Literatura polska.** *Biblioteki Warszawskiej* zeszyt wrześniowy zawiera: 1) Estetyczne znamiona i ich odbicie się w wyrobach kunsztu i przemysłu od XVI w do chwili obecnej, p. K. Matuszewskiego; 2) O polskich przekładach tragedji Sofoklesowych, p. Romana Zawilińskiego; 3) O architekturze u obcych, u nas, uwagi ze stanowiska estetycznego, p. K. Matuszewskiego; 4) Siostra miłosierdzia, powieść, p. E. Castelara; 5) Rzut oka na prace naukowe XV-go walnego zgromadzenia Towarzystwa pedagogicznego w Krakowie w dniach 18, 19 i 20 lipca 1881 r., p. R. Zawilińskiego; 6) Sprawozdanie z trzeciego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie dnia 21 - 25 lipca 1881 r., p. B. P.; 7) Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego; 8) Korespondencya do red. B. W. O sposobie czytania fraszki Kochanowskiego „Raki“ p. Felicyana; 9) Wiadomości bieżące.

— Słownika geograficznego wyszedł zeszyt XXI (Godlewo Gorlice).

— *Ateneum* za m. Wrzesień wyszło z druku i zawiera: 1) Dzień zaduszny, nowella p. F. Chojckiego; 2) Mikołaj Sep Szarzyński, p. Felicyana; 3) Obraz filozofii społecznej w Niemczech i Holandji przez F. K.; 4) Komety, powieść p. J. Zacharjasiewicz; 5) Współczesna powieść we Francji, p. A. Sygetyńskiego; 6) Nowo odkryty napis w Jerozolimie, p. I. Radlińskiego; 7) Jeden z niespełnionych projektów; 8) Kronika przyrodnicza, p. S. K.; 9) Rozbiory i sprawozdania; 10) Wrażenia literackie; 11) Korespondencya.

**Literatura angielska.** Bohn, A. Dictionary of Quotations from the *english poets*.

— Duffield. *Don Quixote, his Critics and his Commentators*.

— Jennings. *Curiosities of Criticism*.

— Brunton. *The Bible and Science*.

— Tröbel. *Definit ons and Axioms ora futere Science Existence. Ontology*.

— Winchell. *Science and Religion*.

— Weir. *The critical Philosophy of Kant*.

— Cox. *An Introduction to the Science of comparative Mythology and Folk-Lore*.

— Freeman. *The historical Geography of Europe*.

— Benfey. *The sacred Books of the East*.

— Collius W. *The black robe*.

**Literatura włoska.** Randazzo: Storia d'Italia. (Palermo).

— Usimbardi. *Istoria del granduca Ferdinando I de Medici*.

— Fioretto *Gli Umanisti, o lo studio del latino e del greco nel secolo XV*.

— Pasquale. *Manuale di arboriculture*.

— Gubernatis. *Ammario della letteratura italiana nel 1881*.

— Lasso de la Vega. *Calderon de la Barca*.

— Rafaelli. *Il melodrama in Italia*.

— Previti. *Il protestantismo, conferenze*.

**Teatr.** W Wiedniu w teatrze „An der Wien“ odbywają się próby z wybora operą komiczną Offenbacha p. t. *Robinson Kruzo*, która przez 13 lat spoczywała w archiwum teatru z powodu mnóstwa trudności w jej przedstawieniu.

— Ryszard Wagner znalazł dla swego „Parsifala“ odpowiednią przedstawicielkę do najważniejszej roli Kundry, istoty tajemniczej na wpół szatana, na wpół aniola.

— Nowozbudowany w Warszawie teatr na miejscu dawnego „Alkazaru“ nosić będzie nazwę „Teatr nowy“, pierwsze przedstawienie, które się w nim odbyło d. 3 września ścigało licznych słuchaczy.

— Szkoła dramatyczna warszawska p. Derynga zaopatrzona została w stałą salę.

— Po raz pierwszy przedstawiono w Warszawie: w Alhambrze farsę *Maciek Dziemba* z muzyką p. Namysłowskiego, w Eldorado komedję p. I. Klinewskiego *Argonauci*.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Redaktor *Prawdy*, dotknięty bolesnem strapieniem, prosi interesantów o wyrozumiałość i cierpliwość.

## OGŁOSZENIA.

**KWESTYA POLSKA**  
W LITERATURZE ROSYJSKIEJ  
M. Pypina

przekład z rosyjskiego.

DODATEK BEZPŁATNY DO

**P R A W D Y.**

Abonenci nowi, którzy pragną go nabyć, płacą rs. 1. Z powodu zastosowania nakładu tej książki do ilości egzemplarzy *Prawdy*, nieabonentom naszego pisma sprzedawać jej nie możemy.

## KSIEGARNIA

Nakładowa Bernarda Lesmana.

F. A. LANGE.

**HISTORYA FILOZOFII**

MATERYALISTYCZNEJ

tłomaczenie

FELIKSA JEZERSKIEGO,

ósmy zeszyt opuścił prasę.

**Treść:** Siła i materya (dokończenie). — Kosmogonia przyrodnicza. — Darwinizm i Teologia.

Nakładem tejże firmy wyszły i są do nabycia we wszystkich księgarniach *Jul. Petersena Metody i Teorye*, rozwiązywania zadań geometrycznych konstrukcyjnych, tłum. z niemieckiego Dr. Karol Hertz, Cena kop. 60.

2—2

**WYPISY POLSKIE**

ulożone przez

**Adolfa Dygasińskiego**

część niższa wyszła nakładem wydawnictwa

**Bernarda Lesmana.**

Cena kop. 45.

2—2

Prenumeratory „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.